



Eileen Wilks  
*Kuszenie Michaela*

Tytuł oryginału  
*Michael's Temptation*



## PROLOG

Zagrzmiało. Błyskawica rozdarła ciemności, wydobywając z mroku masywne drewno i mokry kamień. Gargulec przy drzwiach wykrzywił się drwiąco do mężczyzny stojącego przed drzwiami.

Ulewa i ciemności pasują do tego starego domostwa, pomyślał Michael, wchodząc do wnętrza. Pasowały też do jego nastroju.

Jedynе światło w holu padało od choinki mrugającej wesoło z kąta. Szeroka klatka schodowa była nieoświetlona, korytarz prowadzący do gabinetu brata ginął w mroku.

Jacob z pewnością jeszcze nie śpi. Może jest w sali gier. Buty Michaela zaskrzypiały na marmurowej posadzce, przypominając mu, że ocieka wodą.

Adzie nie podobałoby się, że roznosi wszędzie błoto. Zatrzymał się przy podobnym do tronu krześle z wysokim oparciem i zdjął buty oraz skórzaną kurtkę. Zanim ją rzucił na oparcie, wyciągnął z wewnętrznej kieszeni grubą kopertę.

Bezgłośnie ruszył na tyły domu. Zatrzymał się przed drzwiami sali gier.

Światła były zgaszone. W kominku płonął jasny ogień, rzucając cienie na ściany. Jacob siedział w fotelu z nogami wyciągniętymi przed siebie, twarzą zwrócony ku płomieniom. W ręce trzymał kieliszek brandy.

Michael uśmiechnął się.

- Snob. Ten drogi francuski trunek nie smakuje ani trochę lepiej niż to, co można dostać w sklepie na rogu.

Jeśli brat dał się zaskoczyć, nie okazał tego po sobie. Twarz, którą zwrócił w stronę Michaela, nie zdradzała radości ani zdumienia, lecz w głosie słychać było życzliwość.

- Ja mam wyrobiony smak. Ty pijesz jak nastolatek, tylko dla efektu.

- Nie da się ukryć.

Michael przeszedł przez pokój.

Wypełniały go przypadkowe sprzęty, przez co kontrastował ostro z elegancją reszty domu. Za każdym razem, gdy ich ojciec się żenił, nowa pani West zarządzała przemeblowanie. Michael i jego bracia nabrali zwyczaju ściągania tutaj swoich ulubionych mebli. Sala gier stała się przystanią wyrzutków - w niejednym znaczeniu tego słowa.

Michael spojrzął na stół biblioteczny, niegdyś własność hiszpańskiego wicekróla Meksyku. Mebel przywodził na myśl Luke'a i nieprzeliczone partie pokera, które brat zwykle wygrywał. Drugi ze starszych braci Michaela mógł się wydawać lekkomyślny, lecz dobrze potrafił ocenić swoje szanse.

Teraz na blacie stała szachownica. Michael zatrzymał się przy niej, ujął figurę króla rzeźbioną z gagatu i obrócił ją w dłoni. Szachy od zawsze stanowiły ulubioną grę Jacoba. Cierpliwe planowanie odpowiadało mu w młodości tak samo, jak ostrożne gromadzenie bogactwa teraz.

Michael westchnął i odstawił figurę. Trudno było zadać to pytanie, lecz niepewność wydawała się jeszcze gorsza.

- Jak Ada?

- Okropna jak zawsze.

Jacob wstał. Był roslým mężczyzná, o dziesięć centymetrów przewyższał mierzącego metr osiemdziesiąt Michaela. Włósy miał gęste i krótkie, brązowe, lecz tak ciemne, że nie różniły się prawie od czarnych włosów brata.

- Miewa się doskonale. Terapia działa.

Michael dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że wstrzymał oddech, i wypuścił go w pełnym ulgi westchnieniu.

- Dobrze. To dobrze.

- Zostaniesz dłużej?

- Rano muszę wyjechać. Interesy. - Zerknął na trzymaną w dłoni kopertę. - Masz coś do picia poza tą drogą wodą kolońską?

- Chyba znajdę coś dość taniego, by cię zadowolić. - Jacob podszedł do barku. - Możesz zacząć od tego - powiedział, nalewając bratu bourbona. - Nie zostaniesz tu tak długo, żebym się musiał martwić twoim kacem.

- Zaopiekują się nim w samolocie.

Podszedł do maszyny do gry stojącej w kącie. Pinball - to była jego ulubiona gra w czasach, kiedy wszyscy tutaj mieszkali. Energia i pęd, pomyślał. Łyknął taniego alkoholu, krzywiąc się z powodu smaku. Nie mając cierpliwości Jacoba ani krzepy Luke'a, wykorzystał własne talenty - szybkość ręki, oka i ciała.

Nie mógł się uskarżać. Zręczność stanowiła zaletę u człowieka wiodącego życie, jakie on wiódł. Podobnie jak jasny umysł... lecz tego dnia chciał się porządnie upić. Wlał w siebie resztę alkoholu.

Jacob uniósł brew.

- Śpieszy nam się?

Michael wzruszył ramionami i wrócił do barku, by ponownie napełnić szklaneczkę. To, co zrobił - co zamierzał zrobić - robił dla Ady. Umarłaby, gdyby nie leczenie zaordynowane przez szwajcarską klinikę. Lecz eksperymentalna terapia była bardzo, bardzo kosztowna.

Istniał tylko jeden sposób, by bracia West mogli zdobyć pieniądze na uratowanie życia Adzie. Fundusz powierniczy, przeklęty fundusz, na który ojciec wpłacił swoją fortunę. Każdy z braci mógł zażądać swojej części... jeśli tylko wypełnią warunki. .

Luke już spełnił obowiązek, Michael zamierzał zrobić to wkrótce - po to tu przyjechał. Jacob niedługo do nich dołączy... dopiero teraz, pięć lat po śmierci ojca, wszyscy trzej tańczyli, jak im zagrał.

Jacob odstawił swój kieliszek.

Nalej mi też trochę, skoro już tam stoisz. Nie mam ochoty na kaca, ale dotrzymam ci towarzystwa. Z jakiej to okazji?

- A jak myślisz? - Michael rzucił kopertę na barek. - To kopia umowy przedślubnej, którą spisał dla mnie twój prawnik, podpisana w obecności notariusza.

- Rozumiem. Znalazłeś kogoś, tak?

Michael uniósł pustą szklaneczkę w drwiącym salucie.

- Życz mi szczęścia. Żenię się, jak tylko wrócę z misji. Więc dziś wieczorem chcę się zalać w trupa.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Czy już po nią idą?

Usiadła wyprostowana jak struna, wyrwana ze snu. Liny łóżka zaskrzypiały pod nią. W ustach zaschło jej ze strachu. Dan, pomyślała, Dan, czemu cię tu nie ma?

Odpowiedź oczywiście nie nadeszła.

Nie słyszała teraz nic prócz rytmicznego, chrapliwego oddechu siostry Marii Eleny dobiegającego z sąsiedniego łóżka. Ciemność napierała na jej oczy - ciemność, jaką spotyka się tylko daleko od cywilizacji. Jej wzrok odruchowo pobiegł w stronę drzwi. Nic nie zobaczyła.

Dzięki Bogu. Gdyby przyszli po nią, przynieśliby światło. Zobaczyłaby blask przebijający przez szpary.

Spojrzała w stronę okna, zabitego deskami przez żołnierzy tydzień temu, kiedy ją tu zamykali.

Tydzień. Rankiem będzie tutaj pełnych siedem dni. Czekając na powrót człowieka, którego nazywali El Jefe, mającego zdecydować o jej życiu lub śmierci... czy raczej, jeśli wierzyć plotkom strażników, o tym, w jaki sposób ma umrzeć.

El Jefe miał też rozstrzygnąć o losie siostry Marii Eleny, przypomniała sobie. Lecz choć siostra była *religioso*, należała do rdzennych mieszkańców San Christóbal, nie była obywatelką kraju, którego El Jefe nienawidził bardziej niż wszel-

kich form zorganizowanej religii. Była stara i chora. Może ją oszczędzi.

AJ. odrzuciła cienki koc i ostrożnie, by nie budzić zakonnicy, spuściła nogi na podłogę. Ignorując strach, po omacku zbliżyła się do okna. Skrzyżowała długie nogi i usiadła na brudnej podłodze. Przez szpary między deskami napływało powietrze - zimne, lecz świeże, pachnące ziemią i liśćmi oraz kwiatami. Nawet teraz, w porze suchej, były tu kwiaty.

Gdziekolwiek znajdowało się owo „tutaj”. AJ. nie wiedziała, dokąd przywieźli ją żołnierze po tym, gdy napadli La Palomę, senną osadę, w której pracowała. W San Christóbal nie brakowało gór.

Przez szpary między deskami mogła dostrzec skrawki nieba. Jeśli nie było chmur... tak, gdy się nachyliła, widziała samotną gwiazdę. Podniosło ją to na duchu.

Cisza nie była zupełna. Wewnątrz rozlegało się ciężkie sapanie gorączkującej siostry. Z zewnątrz dolatywało kumkanie żab, miękki trzepot skrzydeł jakiegoś nocnego drapieżnika. Niedaleko jakiś człowiek zawołał po hiszpańsku hasło, inny mu odpowiedział. Potem przez długą chwilę rozlegał się tylko szmer wiatru wśród drzew.

Tak wiele tu drzew. Czasem trudno było przez nie dostrzec choćby skrawek nieba, by podnieść na duchu AJ. przywykłą do rozległych równin Teksasu.

Próbowała nie żałować, że tu przyjechała. To też nie było łatwe. Wpatrując się w mrok, poruszała wargami w bezgłośnej modlitwie. Wstydziła się swojego strachu. Osłabiał ją, a przecież będzie potrzebowała wszystkich sił, by znieść to, co ją czeka. W dzień pamiętała, kim jest, pamiętała o swoich obowiązkach, o siostrze Marii Elenie. W nocy jednak,

w ciemnościach, czuła się osamotniona, zagubiona, zapomniana. Tęskniła za Danem - i robiła mu wyrzuty, choć wiedziała, że to głupie.

Gdyby nie siedziała, głową niemal dotykając desek, nie usłyszałaby tego szmeru. Cichszy niż szept, tak delikatny, że nie potrafiłaby stwierdzić, co go spowodowało - lecz pochodzący z zewnątrz. Zza okna.

Wstrzymała oddech. Otworzyła szerzej oczy.

Coś przesłoniło jej gwiazdę.

- Pastorze? Jest pan tam? - Głos należał do mężczyzny i wydawał się niewiele głośniejszy niż bicie jej serca. - Pastorze Kelleher?

Amerykanin.

Zakręciło się jej w głowie. Gdyby stała, z pewnością by upadła.

- Tak - szepnęła i musiała przełknąć ślinę. - Tak, jestem tutaj.

Pauza.

- Zabiję tego Scopesa - szepnął znowu ten cudowny głos.

- Co?

- Spodziewałem się barytonu, nie sopranu. - W szepcie rozpoznała cień znajomego akcentu z Teksasu. - Porucznik Michael West, proszę pani. Siły Specjalne. Mam panią stąd wydostać.

- Dzięki Bogu.

- Ile pani ma lat?

- Trzydzieści dwa. - Z trudem powstrzymała się, by nie zadać tego samego pytania jemu.

- Jest pani ranna?

- Nie, ja...



- Jak pani ocenia swoją sprawność w skali od lenia kanapowego do supermena?

Och, chciał wiedzieć, czy da sobie radę.

- Jestem w niezłej kondycji, poruczniku. Ale siostra Maria Elena ma ponad sześćdziesiąt lat, a jej noga...

- Kto?

- Siostra Maria Elena - powtórzyła zmieszana. - Została ranna, kiedy żołnierze napadli wioskę. Obawiam się, że nie będzie mogła... Poruczniku?

Zaczął przeklinać - płynnie i niemal bezgłośnie.

- Ta zakonnica... jest obywatelką USA?

- Nie, ale to nie ma znaczenia.

- Nie możemy zabierać każdego, komu grozi paru naśladowców Che Guevary.

- Ale... nie może jej pan tutaj tak po prostu zostawić!

- Wielebna, wydobyć stąd pani będzie dostatecznie trudne.

A.J. oparła czoło o szorstką deskę. Opuściła ją wszelką nadzieją.

- W takim razie bardzo mi przykro - szepnęła - ale nie mogę z panem uciec.

Zapadło milczenie.

- Ma pani pojęcie, co zrobi z panią El Jefe, kiedy wróci?

- Chyba nie będzie mi pan opowiadał o drastycznych szczegółach. Zresztą to i tak nie pomoże: Nie zostawię siostry. - Głos jej zadrżał. - Ma gorączkę. Umrze bez pomocy.

- Umrze bez względu na to, co pani robi.

A.J. rozpaczliwie pragnęła uciec. Ale nie mogła.

- Nie zostawię jej.

Kolejne, dłuższe milczenie.

- Wie pani coś o tej ciężarówce obok baraków?
- Przywieźli mnie tutaj w jakiejś. Takiej z metalową skrzynią, cuchnącej jak zagroda dla kur.
- To ta sama. Była sprawna?
- Tak.
- W porządku. Niech się pani spakuje i czeka tutaj. Zaraz wracam.

Z trudem stłumiła śmiech. Obawiała się, że jeśli raz zacznie chichotać, nie zdoła się opanować.

- Nie ma sprawy. Nigdzie się nie wybieram.

Cienki księżyc rzucał ledwie tyle światła, by zaznaczyć granice między cieniami. Michael czekał w kałuży głębszej ciemności, przywierając plecami do ściany domu El Jefe. Wartownik przeszedł w odległości czterech metrów. Nie obawiał się żołnierzy. Miał gogle na podczerwień, podczas gdy oni musieli polegać na własnych oczach. Miał również broń - SIG sauera i karabin CAR 16 przewieszony przez ramię - lecz liczył, że nie będzie musiał jej użyć. Strzały zwróciłyby uwagę.

Kwatera El Jefe przypominała resztę jego przedsięwzięć - w wojskowym stylu, lecz raczej nędzna. Samozwańczy wyzwoliciel powinien był pozostać przywódcą partyzantów i ograniczyć się do wojny podjazdowej. Brakowało mu wykszolenia, by utrzymać to, co zdobył. Michael był przekonany, że w ciągu tygodnia lub dwóch siły rządowe zdobędą przewagę w tej żałosnej wojence i wedrą się na zbocze, na którym El Jefe zbudował swoją twierdzę.

Brak wojskowego przygotowania wódz wynagradzał sobie jednak krwawym fanatyzmem. Tydzień to byłoby za dłu-

go dla tej kobiety o łagodnym głosie, z którą Michael rozmawiał przed chwilą.

A właściwie co ta wariatka tutaj robi? Zacisnął usta. Może nie była bardziej szalona niż trzech amerykańskich biologów zabranych przez niego na pokład helikoptera, ale to przecież kobieta, do cholery.

Jeden wartownik zniknął za rogiem budynku. Drugi dotarł niemal do końca patrolowanego odcinka. Michael skulił się, po czym szybko i cicho przebiegł otwartą przestrzeń dzielącą podwórze od lasu. Potem zaczekał cierpliwie, aż żołnierz minie zabite deskami okno. Nie poruszył się, póki nie był pewien, że nie ściągnie niczyjej uwagi.

Zabije Scopesa, bez dwóch zdań.

To Scopes przekazał mu przyniesioną przez jakiegoś wieśniaka wiadomość o pastorze porwanym przez oddział El Jefe. Niech go diabli, z pewnością wiedział, że chodzi o kobietę. Tym razem Andrew Scopes pożałuje swojego pokręconego poczucia humoru, przyrzekł sobie Michael.

Być może płęć pastora nie powinna mieć dla niego znaczenia. Ale miała.

Przypomniał sobie, jak głos kobiety zadrżał, kiedy szepnęła, że z nim nie pójdzie. Pewnie płakała. Nienawidził płaczących kobiet i był zły na siebie, że słyszał jej płacz.

Odchodziła od zmysłów ze strachu, ale nie chciała się ruszyć bez tej swojej zakonnicy.

Zakonnica. Boże miłosierny. Michael ruszył między olbrzymimi pniami wspierającymi sklepienie lasu. Dlaczego musiała się trafić jeszcze zakonnica?

Odkąd zaczął służbę, musiał podjąć niejedną trudną decyzję. Niektóre dręczyły go potem po nocach. Ale zakonnica!

Pokręcił głową. Nie wszystkie jego wspomnienia z St. Vincent's Academy były przyjemne, pozostały jednak żywe w jego pamięci. Szczególnie te dotyczące siostry Mary Agnes. Przypominała mu Adę. Zła jak osa, cierpiąca na PMS, jeśli się nie odrobiło lekcji, ale dwa razy gorsza, gdy ktoś spróbował zrobić krzywdę któremuś z jej podopiecznych.

Niech to piekło pochłonie. To miała być prosta misja. W każdym razie prosta dla oddziału Michaela. Jego ludzie należeli do najlepszych. Fakt, Crowe jest nowy, ale jak dotąd okazał się w porządku. Jednak zbieranie informacji o zbliżającej się krwawej rozprawie rządu z El Jefe czy ratowanie paru przerażonych biologów to kaszka z mleczkiem w porównaniu z wykradaniem jeńców z paramilitarnego obozu.

Z drugiej strony, obóz nie był zbyt dobrze strzeżony, a żołnierze pozostawieni na miejscu przez El Jefe nie należeli do najlepiej wyszkolonych czy uzbrojonych. Michael i jego ludzie obserwowali to miejsce od dwóch dni i nocy; wiedzieli, czego się spodziewać. Kiedy już uwolnią jeńców, zostanie im jeszcze czterokilometrowy bieg przez las na polanę, gdzie czeka już Cobra z ładunkiem pechowych przyrodników. Łatwa sprawa - pod warunkiem, że nie niesie się rannej zakonnicy i nie ma za plecami piętnastu uzbrojonych żołnierzy dyszących żądzą mordy.

Na szczęście El Jefe zostawił ciężarówkę. Zdaniem wielebnej, działała ona jeszcze tydzień temu, kiedy ją tutaj przywieziono. Istniała spora szansa, że wóz nadal jest na chodzie.

Jeśli tak...

Kiedy jej polecił, żeby została na miejscu - to znaczy przy oknie, gdzie mogła go słyszeć, gdy wróci - odpowie-

działa dziewczęcym, nerwowym chichotem. Dźwięk przy-  
lepił się do niego jak pajęczyna; nie mógł się od niego  
uwolnić.

Ten śmiech przypominał mu dzień, gdy pierwszy raz cał-  
kował się z dziewczyną. Smak oranżady i odległe poranki,  
kiedy krople rosy lśniły na trawie niczym dotrzymane obiet-  
nice.

Michael nie miał w sobie odrobiny niewinności, już nie.  
Ale wciąż jeszcze umiał ją rozpoznać. I nadal budziła w nim  
wzruszenie.

Mógł znokautować wielebnią i zabrać ją nieprzytomną.  
Byłoby to rozsądne posunięcie. A nawet wspaniałomyślne,  
bo wtedy mogłaby winić jego zamiast siebie za porzucenie  
siostry. Oczywiście, sam też by siebie winił.

Kiedy wreszcie wyrośnie z kompleksu obrońcy dziewic?  
W końcu zapłaci za to życiem. A, cholera, nie może teraz  
zginać. Musi się przecież ożenić.

Nie był to najlepszy sposób przekonania samego siebie,  
żeby przestał odgrywać bohatera.

Dotarł do powalonego pnia, zatrzymał się i gwizdnął, na-  
śladowując wołanie ptaka. Chwilę później trzech mężczyzn wy-  
nurzyło się spomiędzy drzew. Nawet mimo gogli zobaczył  
ich dopiero, gdy się poruszyli. Jego ludzie byli dobrzy. Naj-  
lepsi. Nawet Scopes, chociaż Michael nadal sobie obiecywał,  
że się z nim policzy za ostatni żart.

Westchnął i pogodził się z decyzją, którą podjął już  
wcześniej. Nie zostawi wielebnej na pastwę El Jefe. I zakon-  
nicy też.

Tym razem pułkownik da mu popalić.

Gwiazda skryła się za horyzontem. Teraz szpary między deskami wypełniała tylko ciemność.

Pakowanie nie zabrało AJ. wiele czasu. Nie pozwolili jej zabrać ze sobą niczego - nawet Biblii. W kieszeni miała grzebień i szczoteczkę do zębów, dostarczone parę dni wcześniej przez strażnika, który zachował resztkę ludzkich uczuć. Oczywiście spodziewał się je odzyskać po jej śmierci.

Czekanie nie było łatwe.

Wróci. Na pewno wróci. A jeśli wróci... zabierze ją i siostrę ze sobą. Musi.

Czas ma w sobie coś dziwnego. Jest taki elastyczny. Zdarzenia i emocje potrafią go ścieśnić, sprawić, że godziny pędzą na złamanie karku. Ale można go też rozciągnąć, a wtedy sekundy wloką się opornie jedna za drugą.

- Hej, wilebna.

Choć jego szept był tak cichy, że ginął w szumie wiatru, drgnęła.

- Tak - odezwała się zbyt głośno i serce zamarło jej w piersi. - Jestem tutaj.

- Za parę minut będzie wybuch po wschodniej stronie podwórza. Wie pani, gdzie to jest?

Wybuch? Serce zabiło jej mocniej.

- Niewiele widziałam, kiedy mnie przywieźli, a potem trzymali mnie tutaj. Czy... czy siostra Maria Elena...?

- Tak. - Westchnienie. - Bierzymy zakonnice. Gotowa? Spakowała pani rzeczy?

- Nic nie mam. - Jej dłoń dotknęła miejsca, gdzie zwykle wisiał krzyżyk. Jakiś żołnierz o dziobatej twarzy i bez zęba zerwał jej go z szyi. - Tylko siostrę Marię Elenę.

- Ona też jest gotowa?

- Nie słyszy zbyt dobrze, więc jej nie budziłam, żeby nikogo nie zaalarmować.

- Więc wyjaśnienia muszą poczekać. Zająłem się strażnikami, ale w budynku mogą być jacyś żołnierze.

Zajął się? Co to znaczy? Zadrzała.

- Po co wybuch? Nie lepiej się wymknąć po cichu?

- Musimy odwrócić ich uwagę. Jeden z moich ludzi wysadzi baraki po drugiej stronie podwórza. Po eksplozji...

- Nie. - Ukłękła i przycisnęła dłonie do desek, jakby mogła go w ten sposób dosięgnąć. - Nie, żołnierze... Nie możecie ich zabić, kiedy śpią.

- Wybuch prawdopodobnie nikomu nie zrobi krzywdy. Będzie tylko trochę huk.

Jego ton był rzeczowy, niemal obojętny. Jak gdyby zabijanie niewiele dla niego znaczyło.

- Niech pani słucha, to wojna. Mała, ale obowiązują tu inne zasady niż podczas pokoju. Ci ludzie z zimną krwią zamordowaliby panią i siostrę. Jeśli miałybyście szczęście. Robili gorsze rzeczy.

- Być może. Ale to nie zmienia faktu, że zabijanie ich podczas snu jest złem.

- Martwi się pani o dobro i zło. Mnie zależy na tym, żeby nas stąd wydostać. Plan jest taki. Cztery kilometry stąd czeka helikopter. Podczas gdy *soldados* zajmą się eksplozją, uwolnimy was stąd i pogonimy na łeb na szyję przecinką dochodzącą do drogi jakieś pół kilometra od tego miejsca. Tam zaczekamy na ciężarówkę.

- Jaką ciężarówkę?

- Tę, którą zdobędą moi ludzie. Zabierze nas do helikoptera. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, w kwadrans od wybuchu

wykombinowanego przez Scopesa będziemy w powietrzu. Jasne?

To brzmiało wspaniale. Perspektywa ucieczki wydawała się tak wspaniała, tak oszałamiająca, że AJ. niemal zaczęła się bać.

- Jasne.

- I jeszcze jedno. Od tej pory jestem dla pani bogiem.

- To bluźnierstwo.

- Konieczne. Ma pani prawo narażać własne życie, ale nie życie moich ludzi. Robi pani to, co mówię, i wtedy, kiedy mówię. Żadnych sporów, żadnych pytań. Jak każę skakać, nie chcę słyszeć bzdurnych pytań, jak wysoko. Po prostu pani skacze. Zrozumiano?

- Nie umiem ślepo wykonywać rozkazów.

- Więc niech się lepiej pani szybko nauczy, bo będę musiał panią walnąć, żeby ułatwić sobie zadanie.

Przełknęła ślinę. Nie miała wątpliwości, że porucznik Michael West zrobiłby to, gdyby było konieczne.

- Podobno pan jest z tych dobrych...

- Ci dobrzy nie są już tacy jak dawniej, złotko.

- AJ.

- Co?

- Nazywał mnie pan pastorem, wielebną, panią, a teraz złotkiem. Mam na imię AJ.

- Brzmi raczej jak...

Huk był ogłuszający, aż zatrzęsała się ziemia - jakby znaleźli się w sercu gromu. To był ten jego „mały wybuch”.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Michael oderwał pierwszą deskę, zanim jeszcze przestało mu dzwonić w uszach. „Pożyczył” w tym celu łyżkę do opon z szopy, gdzie stała ciężarówka. Scopes i Trace właśnie się dobierali do wozu. Pracował szybko; karabin położył na ziemi. Wcześniej uspił strażnika; Hammond zajmie się drugim.

Zakonnica wrzasnęła, słysząc wybuch. Teraz wielebna donośnym głosem tłumaczyła jej, jak sprawy stoją.

Za jego plecami odezwał się silny bas.

- Ja biorę tę, która tak się wydziera?

- Nie. - Michael oderwał ostatnią deskę i odsunął się na bok. - Tę, która wrzasnęła zaraz po wybuchu Scopesa. Do środka.

- Jak mnie zobaczy, znowu zaczniesz krzyczeć - mruknął ponuro Hammond.

Ekspert do spraw elektroniki w oddziale Michaela istotnie przypominał większego, ciemnoskórego brata Terminatora, szczególnie w stroju kamuflującym i goglach. Westchnął i wcisnął przez małe okno swoich sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów umięśnionego ciała.

Michael rzucił łyżkę do opon i sięgnął po karabin. Z wnętrza dobiegł go niski głos Hammonda, zapewniającego wielebna, że może mu powierzyć siostrę, parę sekund później

usłyszał, jak pani pastor przeciska się przez okno. Spojrzał na nią kątem oka, po czym natychmiast odwrócił wzrok na polanę i drzewa.

Nie przypominała żadnego pastora, jakiego widział w życiu. Miała kręconą, rozczochraną czuprynę sięgającą połowy pleców, szerokie usta, kwadratową twarz i wielkie oczy, które wbiła w trzymaną przez niego broń. No i jakieś półtora metra nóg.

Kurczę, musiała być prawie taka wysoka jak on. A dziećdziesiąt procent z tego stanowiły wspomniane nogi.

Hammond stanął przy oknie, gotowy przekazać mu tobolek zawinięty w koc. Michael podał mu swojego CAR 16 i w zamian dostał starą kobietę.

Nawet przez koc i materiał habitu czuł bijące od niej ciepło. Była niska i tak lekka, że Hammond poniesie ją bez trudu. Welon gdzieś zginął; rzadkie, krótkie włosy przylepiły się do czaszki. Twarz miała drobną, okrągłą, pomarszczoną i... uśmiechniętą.

W niczym nie przypominała siostry Mary Agnes. Michael uśmiechnął się do niej, powiedział po hiszpańsku, że dobrze się nią zaopiekują, i oddał ją Hammondowi.

Z drugiej strony zabudowań dobiegł grzechot karabinu. Dobrze. Pozostali dają zajęcie żołnierzom.

Zobaczył bladą twarz i przestraszone oczy wielebnej. Nie miał czasu jej uspokajać.

- Idziemy szeregiem. Pani w środku. Hammond i ja widzimy drogę. Pani nie, więc proszę się złapać mojego pasa. I proszę wyciągać nogi.

- AJ. Mam na imię A.J.

Ledwie poczuł jej dłoń przy pasie, ruszył przed siebie.

Przebiegli polaną i rzucili się w las. Grunt był nierówny i kobieta z pewnością nic nie widziała, ale nie spowalniała biegu. Parę razy potknęła się, lecz szybko odzyskiwała równowagę.

- Dokąd biegniemy?

- Ścieżka dochodzi do drogi. Tam będzie czekać ciężarówka.

- Ścieżka? Jest pan pewien, że na niej jesteśmy?

Wyszczrzył zęby, rozbawiony żartobliwą nutą, jaką dosłyszał w jej głosie.

- Proszę mi zaufać.

Na szczęście sklepienie nie było tu tak gęste jak w niektórych miejscach, lecz z tego powodu rosło tu więcej krzewów i zarośli.

- Hammond? - odezwał się. - Jak tam?

- Ani śladu pościgu, Mick.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Ogarnął go niepokój. Fakt, plan był dobry i wykonywali go dobrzy ludzie. Rzecz w tym, że jeszcze nigdy nie brał udziału w misji, która poszłaby zgodnie z planem. Tysiąc rzeczy mogło się nie udać.

Kiedy dotarli do drogi, obawy Michaela w pełni się potwierdziły. Ciężarówka nie było. Był za to oddział żołnierzy. I co gorsza, szli w stronę obozu, a nie w przeciwnym kierunku.

W jednej chwili AJ. biegła krok za swoim wybawcą, a w następnej mężczyzna zatrzymał się tak gwałtownie, że na niego wpadła. Nawet się nie zachwiał. Zamiast tego obrócił się, pchnął ją na ziemię i sam padł tuż obok.

Nie wiedziała, gdzie jest siostra Maria Elena. Drugiego żołnierza, tego z twarzą komiksowego czarnego charakteru i ciałem Mistera Universum, nigdzie nie było widać. Kiedy podniosła głowę, wielka dłoń przycisnęła ją z powrotem do ziemi.

Nadal trzymał rękę na jej karku. Poczowała ciepły oddech przy uchu. Szept był tak cichy, że ledwie go zrozumiała.

- Na drodze są żołnierze. Nie z obozu.

O Boże. Więcej żołnierzy. Teraz, kiedy przestała biec, zrobiło się jej zimno. A może to dotyk dłoni mężczyzny na karku sprawił, że poczuła gęsią skórę? Albo strach. Spróbowała odezwać się równie cicho.

- A ciężarówka?

- Proszę posłuchać.

Usłyszała ją teraz: zbliżający się warkot silnika. A z przeciwnego kierunku głosy nadciągających żołnierzy. Jak im się udało wyprzedzić wóz?

Naraz uświadomiła sobie, że oni nie są z obozu. To musiały być inne oddziały El Jefe. Czy on sam im towarzyszył? Zadrżała ze strachu. Zaczęła oddychać wolno, żeby uspokoić walące serce.

Ciężarówka wyjechała z zakrętu, światła zabłyśły nad drogą, wydobywając z mroku bujną zieleń.

- Będziemy mieli tylko kilka sekund, zanim się zorientują, że wóz już do nich nie należy. Dałem znak Hammondowi. Kiedy on ruszy, pani biegnie za nim. Proszę się kierować na tył ciężarówki.

Samochód zbliżał się szybko, światła wyłowiły z ciemności sylwetki trzech mężczyzn - obdartych, lecz niewątpliwie w mundurach.

- Jeśli będzie trzeba, będę was krył ogniem... cholera! Niech diabli porwą Crowe'a!

Z ciężarówki rozległy się strzały. Jeden z żołnierzy na drodze padł. Reszta rozpierzchła się w poszukiwaniu kryjówek. I zaczęła się ostrzeliwać.

Ktoś krzyknął - Michael, porucznik - lecz AJ. nie miała pojęcia, co krzyczy. Machnął ręką i drugi z żołnierzy przeskoczył przez nią, a potem rzucił się w stronę ciężarówki z zakonnicą w ramionach. Wóz zwolnił, ale się nie zatrzymał. Żołnierz skoczył i wylądował na pace jadącego samochodu, nie wypuszczając ciężaru. Och, Boże, zaraz ich minie. Musi wstać i biec - lecz hałas i przerażenie, strzały i wspomnienia przytłoczyły ją, tak że przywarła do ziemi.

Porucznik złapał ją za ramię i poderwał na kolana.

- Biegnij!

Przełknęła ślinę i podniosła się na nogi. Jakiś cień wynurzył się z ciemności. Światło księżyca załśniło na lufie broni wymierzonej wprost w nich.

Usłyszała tuż obok wystrzał. Cień zatoczył się, upadł. Zdawało się, że wystrzały rozlegają się ze wszystkich stron. Tuż obok jej stóp wystrzeliła fontanna ziemi.

Porucznik złapał ją i powłókł za sobą w szalonym pędzie w głąb dżungli.

Coraz dalej od wozu.

Próbowała się wyrwać. Może nawet krzyknęła - puść mnie, puść mnie do ciężarówki! - lecz nie słuchał. Potknęła się, upadła na nierównym gruncie. Podniósł ją i warknął:

- Biegnij, jakby cię piekło goniło.

Znowu usłyszała strzały. Biegła.

To, co zdarzyło się potem, to był koszmar. Ciemność

i ogłuszający zgiełk. Żołnierze ruszyli za nimi w pogoń. Słyszała, jak przedzierają się przez zarośla, jak się nawołują. Słyszała strzały. Raz kula odłupała drzazgę od pnia, który AJ. właśnie mijała, raniąc ją w policzek.

Biegli i biegli. Porucznik wciąż trzymał ją za rękę, jak gdyby mogła mu się wyrwać, lecz ona już nie chciała nawet tego próbować. Biegła, jak gdyby jej stopy znały drogę, której oczy nie mogły dojrzeć, polegając na nim, ponieważ nie miała wyboru, ufając mu, że poprowadzi ich oboje między drzewami. Biegła prześladowana przez obraz śmierci, obraz żołnierza, którego zabił, by uratować ich oboje - drgającego, padającego na ziemię ciała.

Biegła, rozpaczając nad straconą szansą ucieczki w ciężarówce. Potem, gdy opuściły ją siły, skupiła się już tylko na ucieczce, na tym, by nie upaść, by złapać oddech. Istniał tylko pęd i silna ręka ściskająca jej dłoń. Uderzenia stóp i bicie serca, i jego obecność tuż obok.

Stopniowo uświadomiła sobie, że zaczyna dostrzegać ciemne kształty drzew i niewyraźny zarys mężczyzny obok siebie. Prócz czerni pojawiła się szarość, nie biegli już w kompletnych ciemnościach. Nagle zapragnęła ujrzeć otwarte niebo. Gdyby tylko zobaczyła choć jedną gwiazdę...

Mężczyzna zwalniał. Poczuła, że strach znowu napływa falą; chciała biec bez końca, nie zatrzymując się. Zmusiła się, by też zwolnić, a wreszcie się zatrzymać. Słyszała swój ciężki oddech. Stali bez ruchu w szarym świetle. Jak długo biegli? Gdzie się znajdowali?

Naraz dosłyszała coś jeszcze. Odległy warkot. Dobiegał z góry, z nieba. Helikopter, pomyślała z nową nadzieją.

Zwróciła się do mężczyzny, starając się dostrzec jaśniejszą plamę jego twarzy.

- To... wasz? - wysapała.

- Szukają nas. Musimy wyjść spod drzew. - Ścisnął jej dłoń. - Szybko. Jeśli nie zabłądziłem, las powinien się kończyć niedaleko.

Wokół nich i przed nimi zaczęło się robić coraz jaśniej. Do warkotu helikoptera dołączył teraz inny dźwięk: huk wodospadu. W powietrzu wyczuła zapach wody.

Niespodziewanie wyszli na otwartą przestrzeń.

Powietrze lśniło od porannej mgły. Niebo było łupkowoszare, na wschodzie perłowe. Czuła na twarzy wilgoć, widziała ziemię, po której szła, drzewa za plecami, a po lewej stronie rumowisko skał - brzeg rzeki.

I widziała jego. Niezbyt dokładnie, lecz w końcu mogła zobaczyć człowieka, który ją uratował. Był wysoki i zwinny, broń zarzucił na plecy. Twarz częściowo zakrywały gogle.

Widok, który powinien był jej dodać odwagi, sprawił, że poczuła się bardziej zagubiona. Biegąc z nim przez mrok, czuła mu się bliska, jakby go znała w jakiś głęboki, instynktowny sposób. Jego obraz zniszczył tę iluzję.

Szum wody był teraz bardzo głośny. W stłumionym świetle przedświt widziała ją teraz, spadającą z wysokiego progu. Wstrzymała nagle oddech i stanęła jak wryta. Metr dalej grunt urywał się niespodziewanie i otwierała się głęboka mroczna przepaść, w którą z hukiem spadała woda.

- Gdzie jesteśmy? - spytała.

Chyba jej nie usłyszał. Zsunął gogle i przepatrywał niebo. Zagryzając wargę, również podniosła wzrok, lecz nigdzie nie zauważyła znajomego kształtu.

- No, Dave - mruknął mężczyzna. - Gdzie mogłem iść, jak nie... jest!

Spojrzała w tę samą stronę i zobaczyła w dole rzeki lecącą nisko maszynę. Zmierzała w ich stronę. AJ. roześmiała się, wypuściła dłoń mężczyzny. Miała ochotę skakać ze szczęścia.

Nadciągało wyzwolenie.

AJ. zawsze odznaczała się doskonałym słuchem. Jej pozostałe zmysły były przeciętne, lecz słuch miała niezwykle wyczulony. Dlatego pierwsza usłyszała krzyk.

Odwróciła się. Spomiędzy drzew wynurzył się żołnierz. Nie, żołnierze. Szarpnęła porucznika za ramię.

Ten już się odwracał, zdejmując z pleców karabin.

Znowu kule wzbijały ziemię koło jej stóp, znowu rozległy się ogłuszające wystrzały. Żołnierze wycofali się między drzewa - wszyscy z wyjątkiem jednego, który leżał nieruchomo na ziemi. Jakieś dłonie chwyciły ją w pasie, pchnęły silnie i... zrzuciły ze skarpy.

Leciała, leciała i leciała. Wydawało się, że trwa to w nieskończoność, a może minęła tylko chwila, nim uderzyła w powierzchnię wody. Fale zamknęły się nad nią tak szybko, że nie zdążyła nabrać oddechu. Spodziewała się, że lada chwila natrafi na skały i rozbije się o nie, tymczasem dotknęła stopą błotnistego dna. Odbiła się, czując, że zaraz pękną jej płuca. Prąd był silny, lecz mocno pracowała nogami i rękami, i w końcu wynurzyła głowę nad powierzchnię. Zaczepnęła powietrza.

Po obu stronach widziała kamieniste zbocza. Rzeka mknęła szybciej, niż sądziła wcześniej, i utrzymanie głowy na



powierzchni pochłaniało całą jej energię - ale nie wszystkie myśli. Gdzie jest porucznik? Niewiele widziała poza ciemną, wzburzoną wodą. Zepchnął ją ze skarpy - gdyby wiedziała, że to zrobi, zaczęłaby się opierać, ale zaskoczył ją całkowicie. Przez cały czas wiedział, co należy zrobić. Stali na otwartej przestrzeni, nie mając gdzie uciec przed kulami. Dlatego zepchnął ją w przepaść? Co się stało z nim? Czy też skoczył? A może właśnie teraz leżał na polanie zakrwawiony, konający?

I znowu to słuch pomógł jej znaleźć odpowiedź. Poprzez huk wody usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu. Otworzyła usta, napiła się wody, zakrzuszyła, lecz w końcu zdołała krzyknąć:

- Tutaj! Tu jestem!

Wzburzony nurt nie pozwolił jej jednak zobaczyć mężczyzny, póki rzeka nie zwolniła, a kamieniste zbocza nie ustąpiły trawie. Ręce i nogi bolały AJ. z ogromnego wysiłku. Słońce wynurzyło się nad horyzont. Zauważyła głowę porucznika wśród fal w pewnej odległości od siebie, trochę dalej w dół rzeki. Zawołała znowu.

Odpowiedział. Nie zrozumiała słów, ale nie miało to znaczenia.

Nagle cała energia ją opuściła. Ręce i nogi zaczęły drżeć. Ogarnęło ją znużenie, słabość; marzyła tylko o tym, żeby woda poniosła ją w jego stronę, by on zajął się wszystkim.

Głupia. Chce, żeby utonęli oboje? Z wysiłkiem skierowała się ku bliższemu brzegowi. Po chwili sięgnęła nogami dna - śliskiego, lepkiego, cudownego błota. Próbowwała stanąć, ale zabrakło jej sił. Poczołgała się więc na kolanach, czując, że za każdy pokonany centymetr powinna dostać order.

Brzeg był wąski - skrawek ziemi pokrytej gałązkami, bło-

tem i gnijącymi liśćmi. Wpełzła z wysiłkiem na niego i padła wyczerpana.

Przez długie minuty leżała, dysząc, czując, jak drżą jej mięśnie. Słyszała śpiew ptaków, które obudziły się ze świtem i zaczęły codzienny koncert przerywany krzykami małp.

Jemu też udało się dotrzeć na brzeg, prawda?

Musi to sprawdzić. Z jękiem podniosła się na ręce.

I zobaczyła go po raz pierwszy w pełnym blasku dnia.

Siedział metr od niej z jednym kolaniem podciągniętym w górę, obejmując nogę dłońmi. Woda ściekała z krótkich ciemnych włosów i przemoczonego munduru przylegającego do muskularnych rąk i nóg. Nosił dziwaczną kamizelkę z mnóstwem kieszeni. Twarz miał owalną, skórę opaloną i pociemniałą od zarostu; nos prosty, lecz wydatne kości policzkowe i ciemne oczy przywodziły na myśl Latynosa. Usta miał poważne, bez uśmiechu.

Serce drgnęło jej w piersi. Przyglądający się jej żołnierz był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego spotkała w życiu. Obejrzał ją od stóp do głów. Jego spojrzenie przesunęło się po stopach, nogach, brzuchu, piersiach i na koniec dotarło do twarzy.

- Koszykówka? - spytał.

## ROZDZIAŁ TRZECI

A.J. zamrugała. Czyżby jego widok zamącił jej w głowie?

- Ach, zapomniałam zabrać piłkę.

Wyszczerzył zęby.

- Chyba napiłem się więcej wody, niż sądziłem. Nie, nie oszalałem. To przez pani nogi. Myślałem, że już po pani...

- Uśmiech zniknął, kiedy zacisnął szczęki. - Prąd był silny. Nie mogłem do pani dotrzeć, a nie sądziłem, że da sobie pani radę sama. Ale najwyraźniej używa pani nóg nie tylko do klęczenia.

- Och...

Cofnęła się myślami do pierwszego pytania i tym razem udzieliła właściwej odpowiedzi.

- Lekkoatletyka w college'u, koszykówka dla rozrywki, biegi dla wprawy i trochę pływania.

- Więc miała pani rację, kiedy pani twierdziła, że jest w dobrej formie. To świetnie. Mamy przed sobą długi spacer, wielebna.

Złość dodała jej energii. Wyprostowała się.

- Prosiłam, żeby mnie pan tak nie nazywał.

- Kłopot w tym, że jeśli przestanę panią nazywać wielebna, zacznę zwracać uwagę na niewłaściwe rzeczy, na przykład pani fantastyczne nogi. A propos, wyglądają świetnie, kiedy są mokre.

Przyszło jej do głowy, że nogi nie są jedyną częścią jej ciała, która przemokła. Spojrzała w dół i szybko pociągnęła koszulę, która przylepiła się do jej piersi. Zarumieniła się.

- Wobec tego proszę mnie nazywać wielbłąd Kelleher, a ja będę pana nazywać porucznikiem Westem.

Pokręcił głową.

- Lepiej, jeśli będę panią traktował jak jednego z moich ludzi. Nie trzymamy się zbyt formalności, więc mogę panią nazywać „Wielebna” albo „Nogi”. „Wielebna” bardziej mi się podoba. - Sięgnął po płócienną szaszetkę zwisającą mu u pasa. - Zwłaszcza że następne, co musimy zrobić, to się rozebrać.

AJ. zeszywniała.

- Nie zrobię tego. Nie w obecności kogoś, kto...

- Hej! - Podniósł do góry obie ręce. - Mogę sobie żartować, ale jest pani całkowicie, na sto procent bezpieczna w moim towarzystwie. Bez urazy, jest pani ostatnią osobą, którą próbowałbym poderwać.

- To dobrze.

Porucznik może i robił na niej wrażenie, ale nie musiała się go obawiać. To był żołnierz. W niczym nie przypominał Dana.

Kiwnął głową i odpiął szaszetkę.

- Okej, skoro to wyjaśniliśmy... przekona się pani, że rzadko wydaję rozkazy. I nigdy bez powodu. A teraz proszę zdjąć koszulę i spodnie.

- Tym razem musi pan wytłumaczyć...

- Muszę panią obejrzeć - wyjaśnił natychmiast. - Czy nie ma pani zadrapań, otarć i tak dalej. Z powodu infekcji i pasożytów najmniejsza rana może okazać się groźna.

AJ. przypomniała się rana siostry Marii Eleny. Miał rację... niestety.

- Pan pierwszy.

- Poczekam.

Nabrała wolno powietrza i pomodliła się o cierpliwość.

- Co będzie ze mną, jeśli pańska źle pojęta rycerskość doprowadzi pana do śmierci, zanim się stąd wydostaniemy?

W pierwszej chwili nie odpowiedział. Potem wyjął z szaszetki niewielką apteczkę i jej wręczył.

- Niech pani użyje maści. Jest antybakteryjna. Najpierw niech pani obejrzy moją nogę.

- Nogę?

Skinał głową i zaczął odpinać pas.

- O mój Boże!

- Trafiła mnie kula, kiedy nurkowałem ze skarpy. - Nachylił się, by spojrzeć na długą, brzydką ranę na udzie, z której wciąż sączyła się krew. - Nie wygląda tak źle. Obawiałem się, że będzie gorzej.

Zdaniem AJ. wyglądała dostatecznie źle. Kobieta wyjęła tubkę maści i wycisnęła na dłoń sporą porcję.

- Hej, ostrożnie z tym. Nie mamy więcej.

- Niech pan będzie cicho. - Nachyliła się nad raną. - Nie znoszę tępych, upartych macho. Nie wierzę, że chciał pan z tym czekać, oglądając moje nie istniejące zadrapania.

- Trzeba korzystać z przyjemności... - Wstrzymał oddech, kiedy nakładała maść w płytszą część rany - ..kiedy się trafia. Zdaje się, że nie jest pani pielęgniarką?

- Nauczycielką. - Zagryzła wargę. Nie miała doświadczenia w opatrywaniu rannych ani szczególnych zdolności

w tym kierunku. Była zbyt wrażliwa. Już zaczynały się jej trząść ręce.

- Może się pan zacząć modlić. Albo przeklinać. Co pan woli.

Jego mięśnie przebiegł skurcz, kiedy odchyliła brzegi rany, żeby nałożyć maść w najgłębsze miejsce. Syknął. Jeśli jednak, modlił się albo przeklinał, robił to po cichu.

- Ładne ręce. Nie widzę obrączki.
- Jestem wdową.
- Szkoda.

Co chciał przez to powiedzieć?

- W porządku. To najlepsze, co mogę zrobić. - Przysiadła na piętach. - Teraz trzeba to zabandażować, ale bandaż zamókł.

- Cholera, apteczka miała być wodoodporna. - Skrzywił się. - Podobnie jak krótkofalówka, ale zgubiłem ją razem z karabinem w rzece.

A.J. zagryzła wargę.

- Jest taka roślina... miejscowi nazywają ją balsamem Marii. Myślę, że to łagodny antybiotyk. Nie widzę jej tutaj, ale gdybym ją znalazła, moglibyśmy zrobić opatrunek z liści.

- Nie ma na to czasu.

Sięgnął po apteczkę, wyciągnął bandaż i zaczął owijać nogę. Usta zacisnął z bólu.

- Ja to zrobię.

Ciemne oczy spojrzały na nią szybko. Wręczył jej rolkę bandaża. Zakładając opatrunek, czuła ciepło bijące z jego ciała - i powolną, zdradliwą falę gorąca narastającą w niej samej.

To krępujące, lecz całkiem naturalne, powiedziała sobie.

Jestem zdrową kobietą z normalnymi skłonnościami. A on jest bardzo męski.

- Powinno się trzymać. - Zawiązała końce bandaża, mając nadzieję, że jej głos nie brzmiał zbyt zmysłowo. - Teraz obejrzę pana nogi. Mógłby się pan położyć na boku?

Posłusznie wykonał polecenie, lecz z błysku w jego oczach odgadła, że zauważył jej skrepowanie i domyślił się jego przyczyny.

Och, doskonale wiedział, że jest przystojny.

- Paw - mruknęła półgłosem i zabrała się do roboty.

Nogi miał muskularne. Nie zauważyła żadnych skaleczeń na łydkach ani udach. Dan miał uda grubsze niż on, pomyślała, mięśnie bardziej zaokrąglone, nie tak smukłe. I bardziej włochate. Och, cały był pokryty włosami, ten jej wielki, rudy olbrzym. Łydki miał piegowate od czasów, gdy chodził w szortach, pozwalając, by słońce upstrzyło plamami jego białą skórę Irlandczyka.

Porucznik spojrzał na nią przez ramię.

- Dobrze się pani bawi?

Drgnęła.

- Skończyłam. Żadnych ran.

Podniósł się do pozycji siedzącej i podciągnął spodnie.

- Niech się pani rozchmurzy, wielebna. Powiedziałem, nie ma się pani czego obawiać z mojej strony.

- Nie obawiam się.

Szukając pociechy, machinalnie sięgnęła po krzyżyk. Nie było go. Podobnie jak Dana.

Żołnierz rozpiął kamizelkę. Spojrzał na nią uważnie.

- Coś się stało?

- Nie pańska sprawa.

Zła - na niego, że to zauważył, i na siebie, że pozwoliła sobie myśleć o przeszłości - zamrugła, by odegnać łzy i wspomnienia.

- Ma pan jakiś pomysł, co powinniśmy teraz zrobić?

- Ruszać przed siebie. - Odrzucił kamizelę i zaczął zdejmować koszulę. - Zadrapałem się w ramię. Lepiej niech pani to obejrzy.

Miał smukłe ciało. Nie chude - ramiona były szerokie, skóra w kolorze ciemnej miedzi - lecz smukłe jak u wydry albo kota. Na lewej łopatce skórę miał otartą i zaczerwienioną.

- Muszę użyć jeszcze trochę maści. - Wycisnęła ją na palce. - Którędy pójdziemy?

- Obawiam się, że przez góry. Do Hondurasu.

- Hondurasu? - Zmarszczyła brwi, jak najdelikatniej nakładając lekarstwo. - Myślałam, że jesteśmy bliżej wybrzeża.

- Rzeka, w której właśnie wzięliśmy kąpiel, to Tampuru. Myślę, że znajdujemy się jakieś sześćdziesiąt kilometrów w górę od miejsca, gdzie wpada do Rio Mano.

Nie znała dobrze górzystego centrum i północnej części kraju. Jednak mimo to...

- Nie powinniśmy więc raczej posuwać się w dół rzeki? Niziny są pod kontrolą sił rządowych, a nad Rio Mano leży Santo Pedro.

Mieściła się tam stolica dystryktu, więc musiało to być większe miasto. Telefony, pomyślała. Woda, której nie trzeba gotować. I lekarze, żeby opatrzyć mu ranę.

- Zbyt duże ryzyko, że wpadniemy na siły El Jefe, Słyszałem, że ostatnio doszło do walk w rejonie Santo Pedro.



Jeśli siły rządowe zwyciężą, rebelianci będą się wycofywać tą trasą.

Zadrżała.

- A jeśli nie zwyciężą, nie możemy szukać pomocy w Santo Pedro. - W każdym razie ona nie może. - Pan mógłby chyba uchodzić za krajowca. Żaden z żołnierzy nie widział pańskiej twarzy, a z tego, co słyszałam, dobrze pan mówi po hiszpańsku.

- Mam niewłaściwy akcent. - Naciągnął z powrotem mokrą koszulę. - Nie da rady, trzeba pocierpieć.

Westchnęła.

- Pewnie wcześniej czy później natkniemy się na jakąś wioskę.

- Możliwe, ale nie będziemy mogli się w niej zatrzymać.

- Przecież nie mamy nic do jedzenia! Ani namiotu, ani koców... nic!

- Jedzenie znajdziemy. Niezbyt dużo, ale nie umrzemy z głodu. Nie możemy ryzykować, że nas ktoś zobaczy. Niektórzy wieśniacy są lojalni wobec El Jefe. Większość się go boi. Ktoś może mu donieść o naszej obecności.

- Nawet jeśli... co nas to obchodzi? Ma na głowie ważniejsze sprawy niż pościg za nami. Szczególnie jeśli jego kampania się nie powiedzie.

- Jego nędzna armia będzie się tędy wycofywać. Chciałyby pani ryzykować, że cała wieś zostanie ukarana za pomaganie nam?

To zamknęło jej usta.

- Pani kolej, wielbna. Proszę zdjąć koszulę.

Zacisnęła usta.

- Jeśli pan chce, żebym wypełniała rozkazy jak dzielny mały żołnierz, musi mnie pan zacząć nazywać po imieniu.

Nieoczekiwanie się uśmiechnął - ironicznym, bardzo ludzkim uśmiechem, który przełamał idealną symetrię jego twarzy, czyniąc ją mniej doskonałą. I znacznie bardziej niebezpieczną.

- Aleś ty uparta. W porządku, A.J., ściągaj łachy.

Od rzeki odchodziła ścieżka. Nie była zbyt szeroka - zaledwie wąski ślad wydeptany przez zwierzęta, nie przeznaczony dla rosnącego mężczyzny, lecz była to jedyna droga przez zbitą roślinność. Michael znalazł gruby kij, który mógł mu posłużyć za laskę oraz do płoszenia węży i insektów czających się wśród gałęzi.

Z początku żadne z nich się nie odzywało. Wędrówka przez zarośla pochłaniała całą ich energię. Wkrótce zaczęli się wolno wspinać na strome, gęsto zarośnięte zbocze.

Przydałaby się maczeta, pomyślał Michael, schylając się, by się zmieścić w zielonym tunelu. Z pewnością nie narobiłby nią więcej hałasu, niż przedzierając się przez chaszczę. Miał nóż, lecz był on zbyt krótki do przecinania szlaku. I zbyt cenny, żeby ryzykować stępienie go, więc Michael musiał się zadowolić kijem.

Noga bolała go jak diabli.

Tym razem przesadził. Nigdy nie powinien był komplikować operacji po to, żeby uratować tubylkę. Nawet jeśli była zakonnica.

Potem jednak przypomniał sobie pomarszczoną, uśmiechniętą twarz i westchnął. Czy było to głupie, czy nie, nie mógł jej zostawić na pastwę szaleńca.

Niemniej przez swój rycerski odruch wpakował się w poważne tarapaty. Nie przesadzał, mówiąc o niebezpieczeństwie, jakie grozi im w wioskach. Rebelianci znani byli z okrucieństwa. Jeśli El Jefe zostanie pokonany, straci resztki kontroli nad najbratalniejszymi i najbardziej zezwierzęconymi spośród żołnierzy, a wtedy tylko Michael będzie mógł obronić piękną panią pastor przed gwałtem, a potem zapewne śmiercią.

On tymczasem jest ranny.

Zacisnął usta. Ból może go spowolnić, ale to nie jest główny problem. Niebezpieczniejsza była infekcja, a niewiele mógł poradzić, by jej zapobiec. Kiedy wielebna zaczęła się awanturować, by go opatryć, zgodził się, lecz robił to ze względu na nią. Powinna się czuć potrzebna. Parę minut poświęconych na opatrunek nie robiło różnicy.

- Uwaga na gałąź - ostrzegł.

- Proszę mi powiedzieć, poruczniku - odezwał się gderliwy głos za jego plecami - czy ma pan jakieś pojęcie, dokąd pan idzie?

Mimo złości poczuł, jak wargi wykrzywia mu uśmiech. Wiedział, dlaczego został zdegradowany. Jej gołe nogi wyglądały dokładnie tak wspaniale, jak się spodziewał. A nawet lepiej. Przyglądał im się z wielką przyjemnością.

- Chcę się wspiąć wyżej, żeby stwierdzić, gdzie jesteśmy, i zaplanować dalszą marszrutę.

- W jaki sposób?

- Mam oczy, mapę, kompas i GPS.

Skoro już musiał ciągnąć za sobą cywila, dobrze, że trafił na kogoś z energią i charakterem. Pani pastor nie skarżyła

się, nie domagała uspokajających zapewnień. Po prostu marszerowała przed siebie.

- Od czego ten skrót: A.J.?

- Alyssa Jean. A GPS?

- Globalny Pozycyjny System. - Jego brat Jacob dał mu w prezencie tę zabawkę na urodziny, mówiąc, że dzięki temu Michael będzie miał pojęcie, gdzie się znajduje, nawet jeśli nikt inny nie będzie tego wiedział. - Kontaktuje się z satelitą i określa nasze położenie na cyfrowej mapie. Czemu chcesz, żeby cię nazywać A.J.? Alyssa to ładne imię.

- Uraz plus upór - wyjaśniła. - W mojej klasie były trzy Alyssy. Nie chciałam się dzielić swoim imieniem, więc zostałam AJ. Podobało mi się to. W dzieciństwie był ze mnie kawał trzpiota.

- W jaki sposób trzpiot zostaje pastorem?

Pastorem o długich, gładkich nogach, małych wysokich piersiach i błękitnych oczach. To go zaskoczyło. Nie wiadomo czemu sądził, że są brązowe; w łagodnym, rozsądnym kolorze. Były błękitne. Jak pogodne niebo.

- Chyba tak jak wszyscy inni. Czułam powołanie, więc po college'u wstąpiłam do seminarium.

Znaleźli się blisko szczytu. Może będzie sobie mógł pozwolić na chwilę odpoczynku, określając położenie. Udo rwało go jak jasna cholera.

- Jak tam noga?

- Nieźle.

Zanurkował pod zwisającym pnączem, chwycił się młodego drzewka, by się podciągnąć w górę szczególnie stromego odcinka szlaku - i zamarł, wstrzymując oddech.

- Co się stało? - dobiegł go zza pleców zduszony, przeżony szept.

Zamiast odpowiedzieć, odsunął się na bok, nakazując gestem, by do niego podeszła.

Małeńka polana przed nimi była cała błękitna. Roztrzepotane, jaśniejsze od nieba błękitne lusterka pokrywały każde źdźbło trawy niczym okruchy oceanu.

Motyle. Setki motyli zebrały się w jednym miejscu - niektóre małe, inne o skrzydłach tak wielkich jak złożone dłonie.

AJ. musnęła go ramieniem. Mgnienie później owady zerwały się do lotu, zatrzepotały w powietrzu i znikły wśród drzew.

- Och...

W jej cichym okrzyku zawierał się cały podziw, jaki odczuwał Michael.

- Taaak - mruknął, bo nie potrafił znaleźć słów, by nazwać to, co właśnie widzieli... co widział teraz w jej błyszczących oczach.

Jej twarz rozświetlił szeroki uśmiech.

- Nigdy nie widziałam czegoś podobnego.

On też nie. Dziecinny zachwyty na twarzy dorosłej kobiety... czy jest coś piękniejszego? Odruchowo dotknął jej policzka.

Uśmiech zbladł.

Pogładził lekko jej skórę. Z pewnością motyle skrzydła nie mogły być delikatniejsze. Objął dłońmi twarz kobiety i zajął jej w oczy, szukając czegoś. Przyzwolenia?

- Michael...

Przełknęła nerwowo ślinę.

- Chcę cię pocałować. - W tym momencie wydawało mu się to całkowicie rozsądne. - Tylko pocałować, nic wielkiego.

- To zły pomysł. - Oczy miała szeroko otwarte, czujne. - Bardzo zły.

Ale się nie odsunęła.

- Nie bój się. Nie pozwolę... żeby hormony zaczęły myśleć za mnie.

Nachylił się bliżej ku jej wargom.

Jeden pocałunek to drobiazg, prawda?

Najzwyczajniejszy, najprostsze złączenie ust. Nic wielkiego. Jej wargi były gładkie i ciepłe, smakowały solą. Nie zamknęła oczu. On też nie.

Wyprostował się. Dłoń, która obejmowała jej twarz, opadła mu do boku. Spojrzał w jej oczy - równie szeroko otwarte, równie wstrząśnięte jak jego własne.

Co on zrobił? Co on sobie zrobił?

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Słońce wspięło się wyżej na niebo, zrobiło się gorąco. Gorący zaduch, który wysysa siły z ciała i zaciemnia umysł. Wędrowali teraz wśród zarośli, dębów i sosen *ocotino*, a nie przez prawdziwy las deszczowy. Plamy słońca tańczyły wśród cienia. Papugi skrzeczały, paplały małpy, owady szeleściły wśród gnijących liści pod stopami. Pot piekł AJ. w oczy i w ranie na ręce otartej przed chwilą o skały.

To prawda, co mówią: nie chodzi o gorąco, powtarzała sobie, zsuwając się w dół zbocza za Michaeliem. To ta przeklęta duchota. A może to z wyczerpania pulsowało jej w głowie. Albo z głodu. Albo z odwodnienia. Usta i gardło miała wyschnięte i szorstkie.

Lepiej o tym nie myśleć.

Dobrze przynajmniej, że skończyła się pora deszczowa. Temperatura spadała wtedy nieznacznie, lecz robiło się za to dużo wilgotniej. Codzienne deszcze zmieniały w kałużę każde zagłębienie gruntu, drogi tonęły w błocie, a komary mnożyły się jak szalone.

Nie żeby stan dróg bardzo ją martwił, pomyślała cierpko. Jak dotąd żadnej nie spotkali.

Zatrzymała się, by otrzeć pot z twarzy. Może powinna poprosić Michaela, żeby dał jej wody ze swojej plastikowej manierki, ukrytej w jednej z licznych kieszeni. Nie mieli

garnka, żeby przegotować wodę, lecz Michael dolał do niej parę kropel jodyny, zapewniając, że to wystarczy. Niestety, smakowała potem równie paskudnie, jak wyglądała.

Noga musiała go bardzo boleć. Prawie się nie odzywał. Zmartwiona AJ. przestała się zastanawiać, gdzie stawia stopy, i skupiła całą uwagę na idącym przodem mężczyźnie.

Jego szyja lśniła od potu, mokre włosy przylgnęły do głowy. Chciała ich dotknąć, pogłodzić; chciała... och, chciała przestać myśleć o tamtym pocałunku.

Dlaczego? Jeden pocałunek nie mógł wszystkiego tak skomplikować. A jednak skomplikował. Obudził w niej pragnienie, tęsknotę, potrzebę bliskości. Nie chciała wracać do życia teraz - nie tutaj, nie z tym mężczyzną. Och, bądź szczerą, zbeształa sama siebie. Myśl o związaniu się z kimkolwiek budziła w niej głupi lęk. Jakim tchórzem się stała! Danowi wcale by się to nie podobało.

Oczywiście żołnierz, który szedł teraz przed nią, nie myślał o związkach, kiedy ją całował. Myślał o seksie - tak po prostu. A ona zbyt wiele sobie wyobraża.

Mimo to pamiętała wyraz jego oczu, kiedy podniósł głowę. Może dla niego też nie jest to takie jasne. I może to nie ból sprawił, że milczy od chwili, gdy ją pocałował.

Zmęczona tymi rozmyślaniami, odezwała się:

- Jak tam noga?

- Może być. - Spojrzał na nią przez ramię. - A ty dajesz radę? Wcale się nie odzywasz.

Słyszając, że myślał o tym samym co ona, uśmiechnęła się.

- Trzymam głębę na kłódkę, żeby nie jęczeć.

- Więc zdarza ci się jęczeć? Nie zauważyłem. Pewnie czekasz, aż sytuacja stanie się naprawdę trudna.



Szlak stał się szerszy, tak że mogli teraz iść obok siebie.

- Jęczenie wymaga energii, a tej nie mam na zbyciu. Poza tym właściwie nie powinnam się skarżyć. Jak sobie przypominę, gdzie byłam jeszcze wczoraj, nogi prawie przestają mnie boleć.

- Podejrzewam, że pastor powinien doceniać jasne strony życia. Na przykład to, że nie wszedł na węża.

- Ani w gniazdo mrówek ogniowych - przytaknęła. Ich ukąszenie bolało bardziej niż ukłucie pszczoły. - No i te góry. Mogliśmy trafić w Andy...

- Nie w San Christóbal.

Wyszczерzyła zęby.

- Chodzi mi o to, że nie są bardzo wysokie. W porównaniu z Górą Skalistymi w kraju to zwykłe pagórki.

, - Mieszkałaś w górach?

- Nie, jestem z zachodniego Teksasu. Nie przywykłam do tych gór i dołków. Prawda, wyglądają fantastycznie, pod warunkiem że nie patrzy się ciągle w ziemię. Błoto wszędzie wygląda tak samo.

- Fakt. A co cię przywiodło na ten konkretnie kawałek błota?

- Roczna umowa z UCA.

- Teraz ty używasz skrótów, których nie rozumiem.

- United Churches Agency. To ponadwyznaniowa organizacja wysyłająca nauczycieli do biednych krajów Ameryki Południowej i Środkowej.

- A co cię skłoniło, by spędzić rok właśnie w San Christóbal?

- Obietnica - rzuciła bez namysłu. Zmarszczyła czoło.

- Zbyt łatwo się z tobą rozmawia.

- Łatwiej niż z małpą; Nie przerywam tak często. Jaka obietnica?

- Złożona mojemu mężowi. Po tym, kiedy zginął.

Spojrzała na niego wyzywająco, czekając, by nazwał ją głupią.

Nie odezwał się wcale. Coś w jego milczeniu sprawiło, że chciała mówić dalej, opowiedzieć o rzeczach, które długo tłumiła w sobie.

- Zastrzelili go dwa lata temu podczas napadu na sklep. Mieliśmy tylko kupić mleko. - Przerażliwy bezsens śmierci Dana sprawił, że ścisnęło się jej gardło. - To było takie głupie. Tak idiotyczne.

- Śmierć rzadko wydaje się sensowna.

- Pewnie tak.

Zbyt często widywała tamten wieczór w wyobraźni, w snach. Zmieniała scenariusz. Układała wszystko tak, żeby nie potrzebowali mleka albo wstąpili do innego sklepu. Nie chciała wracać do tego znowu.

- A co ciebie tu sprowadziło?

- Wojna.

No cóż, to zgrabnie pozwalało zamknąć temat.

- A co sprawiło, że wybrałaś tego rodzaju karierę?

Uniósł brwi.

- Widzę, że tobie też nie brak tupetu.

Jego rozbawienie przeraziło ją bardziej niż własny sarkazm.

- Nie powinnam była tego mówić.

Wzruszył ramionami.

- Sam się prosiłem. Nic dziwnego, że się zemściłaś. Wierz mi albo nie, ale nie. wybrałem armii dlatego, że lubię wojnę.

Znowu schodzili w dół. Ujął ją za rękę.

- Chciałeś pomagać - odezwała się po chwili. - Tak to nazywają, prawda? Służenie w armii. Czułeś powołanie do służby.

- Lubiłem też, jak różne rzeczy robią: bum!

- Nie mówiłam... zaraz! - Zerknęła między drzewami.

- Czy to nie droga?

- Tak. - Wypuścił jej dłoń i zatrzymał się. - Wygląda na drogę.

Była to zaledwie para błotnistych kolein wijących się przez niewielką dolinkę - lecz obiecywały znacznie wygodniejszy marsz. AJ. ruszyła przed siebie.

Złapał ją za rękę.

- Nie. Jeśli w pobliżu kręcą się żołnierze El Jefe, tu właśnie najłatwiej będzie ich spotkać.

Poruszyła się niecierpliwie.

- Bardziej prawdopodobne, że natrafimy na znudzonego *carbonero*, który z przyjemnością zaprosi nas do ogniska. A-twoja noga...

- To nie ma znaczenia.

- Pewnie, że ma. Ignorowanie problemu nie sprawi, że zniknie.

- Nie ignoruję go. Ale wolę utykać niż dostać kulkę w łeb dlatego, że próbowałem powstrzymać pięciu czy dziesięciu ludzi od zgwałcenia ciebie.

Poczuła mdłości, krew odpłynęła jej z twarzy.

- Nawet o tym nie myśl. Nawet nie myśl o odgrywaniu bohatera, o... wolę, żeby mnie zgwałcili, rozumiesz? Nie chcę tego znowu oglądać. Nie chcę!

Zaczęła się trząść; zrobiło jej się słabo. Nienawidziła tego, ale nie potrafiła opanować własnych reakcji.

Uścisk na jej ramieniu złagodniał.

- On tak zginął, Alysso? Twój mąż? Próbował cię bronić? Nie mogąc się odezwać, skinęła głową.

Objął ją w pasie. Spokojnie, jakby przechadzali się po parku, poprowadził ją w dół zbocza.

Trwało minutę, nim odzyskała głos, lecz nawet wtedy drżał.

- Myślałam, że nie chcesz iść drogą.

- Masz rację, jeśli chodzi o moją nogę. Za wolno się posuwamy.

- Ale...

- Nie martw się. Jeśli napadnie nas gromada żądnych krwi bandytów, pozwolę im robić z tobą, co zechcą.

Aż się zakrztusiła ze śmiechu.

- To okropne. Obiecujesz?

- Na honor absolwenta St. Vincent's. Prawdę mówiąc, nie udało mi się skończyć szkoły. Nie byłem też najlepszym uczniem. Ale kiedy mnie wyrzucali, przynajmniej jedna zakonnica wierzyła, że riie wyląduję w więzieniu.

Tym razem zaśmiała się swobodniej, bardziej naturalnie. Wyzwoliła się z jego uwodzicielskiego uścisku.

- Chodziłeś do szkółki parafialnej? - Pokręciła głową.

- Nie wyglądasz na takiego.

- Moja matka jest katoliczką. Zależało jej na tym, a ojca nic to nie obchodziło.

Wyczuła wiele znaczeń w tym ostatnim stwierdzeniu. Później, pomyślała, zbyt zmęczona, by się tym teraz zajmować. Potem się dowiem, o co mu chodziło.

Dotarli do drogi.

- Dobre miejsce, żeby dokonać pomiarów - rzucił i wy-

ciągnął GPS z kieszeni. - Jak miał na imię? - spytał obojętnie, przyciskając guziki na urządzeniu.

- Kto?
- Twój mąż.
- Dan. Wielebny Daniel Kelleher.
- Rany... jeża. On też był pastorem?

Uśmiechnęła się.

- Nie musisz się pilnować tylko dlatego, że jestem pastorem. Trudno mnie spieszyć.

- Nie robię tego, bo jesteś pastorem, tylko dlatego, że jesteś damą.

To ją poruszyło. Przywykła, że większość ludzi - szczególnie mężczyzn - widzi tylko jej koloratkę, nie dostrzega w niej kobiety.

- Jak się poznaliście z Danem?

- Był duszpasterzem młodzieży w mojej parafii. Świetnie sobie radził z dziećmi, ale... to było jego największe marzenie. Praca misjonarska. Gdyby się ze mną nie ożenił...

- To bez sensu winić siebie za decyzję kogoś innego.

- Pewnie tak. Ale byliśmy małżeństwem przez trzy lata i przez trzy lata go od tego odwodziłam. W końcu się zgodziłam, żebyśmy wzięli rok urlopu... za jakiś czas.

Była taka pewna, tak arogancko przeświadczona, że mają mnóstwo czasu.

- Gdyby nie ja, spełniłby swoje marzenie, zamiast trafić na napad w sklepie.

- I może zginął jeszcze wcześniej. Gdybanie to niebezpieczna gra. Można grać w nieskończoność i nigdy nie wygrać.

Skrzywiła się cierpko.

- Zastanawiam się, które z nas powinno być kaznodzieją.
- Zawsze łatwiej udzielać rad, niż ich słuchać.

Schował urządzenie do kieszeni. Kiedy ruszył znowu przed siebie, wydawało się jej, że mocniej się wspiera na lasce. Zaniepokoiło ją to, ale miała dość rozumu, by tego nie komentować. Znowu by się upierał, że wszystko w porządku.

- Rozumiem, że przyjechałaś tu w jego imieniu.
- W pewnym sensie... Nie - poprawiła się. - To nieprawda. Myślałam, że tak jest, ale tak naprawdę przyjechałam dla siebie, szukając... sama nie wiem. Sposobu, żeby przestać rozpaczać. Żeby zamknąć jakiś etap. Bycie więźniem ma jedną zaletę - dodała cierpko. - Ma się mnóstwo czasu do rozmyślań.

- I przeznaczyłaś go na rozmyślanie o swoim mężu.

Zatrzymała się.

- O matko. A już myślałam, że jesteś wrażliwym facetem.
- Niesłusznie. - Zatrzymał się także i przesunął dłonią po jej włosach. - Niezbyt mi się podoba bycie zazdrosnym o nieżyjącego faceta, ale nic na to nie poradzę.

- Nie. - Cofnęła się o krok. - Nie pozwalam.

Uśmiechnął się.

- Trudno. Jesteś cholernie atrakcyjną kobietą, Alysso.
- AJ. - poprawiła go odruchowo. - Nie jestem w twoim typie. Sam tak powiedziałeś.

- Zmieniłem zdanie.

- Ale ja nie.

Ruszyła przed siebie. Uważa ją za atrakcyjną? Poczowała wewnętrzne ciepło, delikatne i niepokojące.

- Nie? - Dogonił ją bez trudu mimo swojej rany. - Po-

wiedz, że wcale cię nie pociągam. Że nie patrzyłaś na mnie tak, jak kobieta patrzy na mężczyznę, którego pragnie.

- Jestem dużą dziewczynką. Nie muszę ulegać każdemu impulsowi.

- To coś więcej niż impuls.

Ujął jej rękę. Przysunął się blisko.

- Zgwałcili cię?

- Co takiego? - Pokręciła głową. - Kiedy... kiedy Dan zginał... Nie. Słuchaj, wprowadziłam cię w błąd. Przepraszam. Nie jestem jeszcze gotowa na związek. Proszę, nie rób sobie nadziei. Nie jestem zainteresowana.

Wciąż się uśmiechał, ale w jego oczach dostrzegła tamtego drugiego człowieka - wojownika, który uwolnił ją z więzienia i zabił żołnierza.

- Ale ja tak - powiedział cicho.

Odrzucił laskę, ujął jej głowę i - pocałował ją.

To nie był delikatny kontakt ust. Jego wargi były twarde, natarczywe. Umysł AJ. ogarnęła mgła. Narastało w niej pragnienie, słodkie i bezwzględne, ślepa potrzeba, by dotykać i poddawać się dotykowi. Zamknęła oczy. Chwyliła go za ręce, przyłgnęła do niego całym ciałem. Naraz w ciemności za opuszczonymi powiekami dostrzegła ludzki kształt ukryty w cieniach, drgający od przeszywających go kul.

Gwałtownie otwarła oczy. Jęknęła cicho.

Uniósł głowę.

- Jesteś zainteresowana.

Wyszarpnęła się z jego uścisku. Serce waliło jej jak szalone.

- Kiedy zamknęłam oczy, zobaczyłam go. Tamtego żoł-

nierza, którego zastrzeliłeś przy ciężarówce. Czułam twoje usta i widziałam, jak pada.

Opuścił ręce. Jego twarz straciła wszelki wyraz. Bez słowa schylił się, podniósł łaskę i ruszył przed siebie błotnistym szlakiem.

Woda była tak zimna, że ręka szybko mu ścierpła. Michael czekał, z przedramieniem zanurzonym w bystrym strumieniu, wpatrzony w rybę znajdującą się kilka centymetrów od jego łokcia.

Znowu trafili na dżunglę. Słońce zachodziło, niewidoczne przez sklepienie drzew. Światło było tu zielone i przytłumione. Drzewa tłoczyły się gęsto, lecz ziemia była naga. Obóz rozbili w miejscu, gdzie *carboneros* wycięli kilka drzew.

Druga ryba wisiała już na kawałku sznurka. Nieco dalej w dół strumienia AJ. szukała suchego drewna na ognisko. Miał nadzieję, że coś znajdzie. Nie lubił surowych ryb na kolację.

Kolacja. Do tego się nadawał. Nie protestowała przeciw zabijaniu, kiedy chodziło o napełnienie jej żołądka.

Był niesprawiedliwy.

Ryba poruszała się leniwie w zgięciu jego ręki. Czekał dalej.

AJ. nie obrzuciła go wyzwiskami, nie oskarżała o nic. Stwierdziła fakt: kiedy ją całował, przed oczyma stanął jej zabity żołnierz.

Mógł się z nią kłócić. I robił to w myślach przez następną godzinę, wędrując w milczeniu drogą. Tak, zabił - żeby uratować jej życie. Wolałaby zginąć sama? Może chciała, żeby to on wykrwawił się w błocie.



Jednak w głębi duszy wiedział, że miała rację. Nie miał prawa jej dotykać. Kurczę, całował ją zaraz po tym, kiedy mu powiedziała, że jej mąż, święty człowiek, został zastrzelony na jej oczach.

Świetny ruch, pomyślał gorzko.

Pociągała go. Pociągała go z niezwykłą siłą. Może i był zazdrosny o jej męża, ale podziwiał jej lojalność. A jeśli istniała jakaś cecha, w którą Michael wierzył, była nią właśnie lojalność.

I ta jej niewinność. Nie seksualna - to rzecz ulotna, mało interesująca. Alyssa była niewinna w głębszym sensie, dostępnym jedynie tym nielicznym, którzy wierzyli w dobro i zło. Ludzi, którzy widzieli granicę - i nigdy jej nie przekroczyli.

On sam przekroczył ich w życiu zbyt wiele. Czasem po to, by uniknąć większego zła. Czasem, kiedy był młodszy, walcząc z całym światem, nie dbał o to, co robił. Po jakimś czasie nie miał już pewności, gdzie przebiega granica; wszystko zmieniło się w szarą strefę, ziemię niczyją, gdzie człowiek robił, co mu kazano.

Ryba szukała czegoś przy dnie. Blisko; lecz po niewłaściwej stronie dłoni. Czekał.

Nie, nie powinien był jej dotykać. Jej słodycz, tak go pociągająca, stanowiła najważniejszy powód, dla którego nie powinien tego robić. Wiedział o tym. I wiedział, że zabiłby dla niej znowu, gdyby musiał.

Teraz. Srebrny błysk, szybki ruch - jego palce zamknęły się wokół śliskiej ryby. Wstał, ściskając posiłek dla kobiety, której nie mógł mieć, i ruszył w stronę obozu.

Formalnie był zaręczony, ale nigdy nie pocałował narze-

czonej, nie mówiąc już o spaniu z nią. Nie pragnął Cami, nie lubił jej, nie chciał z nią mieć nic wspólnego, nie licząc nieuniknionego zawarcia związku zgodnie z prawem. Ale to wszystko nie miałoby znaczenia dla Alyssy. Gdyby się dowiedziała o Cami, uznałaby Michaela za łajdaka.

Może był podły. Granice tak dawno zatarły się w jego wyobraźni.

W porządku, będzie się trzymał na dystans, pomyślał, przewlekając sznurek przez skrzela ryby. Ale nie musi być tym zachwycony.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Co jeszcze masz w tych zaczarowanych kieszeniach?
- spytała A.J.

Siedziała na względnie suchym kawałku ziemi z kolanami podciągniętymi pod brodę, z bosymi stopami. Michael uparł się, żeby wysuszyć buty i skarpetki nad ogniskiem.

- Kolorowy telewizor? Dmuchany materac?
- To znaczy, nie licząc transportera?
- Uważam, że to byłoby oszustwo, gdybyśmy go użyli.

Szybko zapadł zmrok; chór żab odzywał się donośnie, wiatr poruszał liśćmi nad ich głowami. A.J. ze zmęczenia kręciło się w głowie, jej umysł przeskakiwał od jednej myśli do drugiej, nie mając energii, by je logicznie powiązać. Bolało ją całe ciało. Najgorsze przyjdzie jutro, pomyślała, kiedy wstanie po nocy przespanej na ziemi.

Jej spojrzenie pobiegło w stronę posłania - kawałka ziemi oczyszczonego przez nią z kamieni i gałązek oraz kolejnego skarbu z kamizelki Michaela - „kosmicznego koca”, srebrzystej folii, która miała zapobiec ucieczce ciepła. Wspięli się dość wysoko i noc zapowiadała się zimna - już teraz zrobiło się chłodno.

Jeden koc. Jedno łóżko. To było jedyne rozsądne rozwiązanie - lecz mimo to czuła się nieswojo. Odwróciła wzrok.

Michael już wcześniej zaostrzył kawałek patyka, teraz

nadział na niego rybę i przysunął ją do trzaskającego wesoło ognia. AJ. westchnęła.

Uważała się za dość wysportowaną, lecz z nim nie mogła się równać. Michael wiedział, co robić i w jaki sposób, podczas gdy ona czuła się kompletnie zagubiona. Bezużyteczna. To również było dla niej nowe i nieprzyjemne wrażenie.

Rozejrzała się dokoła, lecz wszystko zostało już zrobione.

- Powinnam obejrzeć twoją ranę.

- Sam się tym zajmę.

To tyle, jeśli chodzi o pomoc. Zajmował się wszystkim.

Jak mu się udało wędrować z raną od kuli w nodze? Dzięki determinacji, doszła do wniosku, połączonej z niezwykłą sprawnością niezbędną u kogoś, czyją pracą była wojna.

- Ile masz lat? - spytała nagle.

Podniósł wzrok.

- Trzydzieści. Czemu pytasz?

Wzruszyła ramionami. Więc jest dwa lata młodszy od niej. Nieważne.

- Zastanawiałam się, ile lat minęło, odkąd opuściłeś St. Vincent's.

- Dużo. - Jego głos brzmiał łagodnie i trochę smutno.

- Miałem piętnaście lat i, zdaniem większości ludzi, moim przeznaczeniem było wylądować w więzieniu.

- I udało ci się go uniknąć?

- Tak i nie. - Uśmiechnął się nagle. - Ojciec wysłał mnie do szkoły wojskowej. Niektórzy powiedzieliby, że to prawie to samo co więzienie.

- Ojej. Naprawdę byłeś takim trudnym przypadkiem?

- Miałem trudności z podporządkowaniem się autorytetom. Nie chciałem zostać w St. Vincent's i nie chciałem mieć

nic wspólnego z gromadą maminsynków, i dawałem to jasno do zrozumienia.

- Czułeś się obco.

- Moja matka była Meksykanką i niektórym to przeszkadzało. Nie znosiłem bogatych chłopców z dobrych domów. Może dlatego, że sam byłem jednym z nich.

Więc pochodził z bogatej rodziny? Zamrugała powiekami, kiedy jej wyobrażenia na jego temat uległy nagle całkowitej zmianie.

- Ja byłem prymuską przez całe liceum - wyznała. - Same piątki, ulubienica nauczycieli. Dopiero w college'u zaczęłam szaleć.

- Jakoś nie mogę w to uwierzyć - odparł sucho. - Chyba że chodzi ci o wypad na piwo w sobotę. Proszę, twoja ryba. Uważaj, gorąca.

- To dobrze. - Zaburczało jej w żołądku. - I dzięki, że dałeś mi pierwszej, zanim sama ci ją wyrwałam z rąk.

Zmusiła się, żeby jeść bez pośpiechu, gdy tymczasem on nadział drugą rybę na patyk i przysunął do płomieni.

- Naprawdę pozwalałam sobie na wiele - ciągnęła dalej AJ. między jednym kęsem a drugim. - Wolność uderzyła mi do głowy. Byłam późnym dzieckiem, jedynaczką, więc wcześniej rodzice mnie rozpieszczali. A co twoi powiedzieli, kiedy wstąpiłeś do wojska? Martwili się?

- Ojciec poczuł wielką ulgę, kiedy stwierdziłem, że podoba mi się w armii. Matka... - Wzruszył ramionami. - Często traci kontakt z rzeczywistością. Leki. Alkohol - wyjaśnił.

- Och. — Spuściła dłonie na podołek. - Przykro mi. Ma depresję? Cierpi na cyklofrenię?

Rzucił jej rozbawione spojrzenie.

- Mówisz jak fachowiec.
- Pisałam licencjat z socjologii. Zanim poszłam do seminarium, chciałam być terapeutką.

Chrząknął -jedno z tych męskich chrząknięć, które mogą znaczyć wszystko - i zabrał się do swojej ryby.

Zrobiło się zupełnie ciemno. Jedyne światło padało od niewielkiego ogniska. AJ. mocniej podciągnęła kolana; wołałaby nie lubić Michaela tak bardzo. To, że go pragnęła, było dostatecznie złe. Odkrycie, że go także lubi, sprawiło, że czuła się jeszcze bardziej głupio.

Przynajmniej znowu zaczął z nią rozmawiać. Po tamtym pocałunku milczał całe godziny. Nie winiła go za to. Narażał życie, żeby ją ratować, a ona nazwała go mordercą.

Nie był mordercą. Ale mimo to zabił człowieka. I to ją niepokoiło. Nie, chodziło o coś głębszego.

Och, pomyślała. No, tak. Z jej powodu zginął człowiek. Zginął z ręki Michaela. Więc Michael stanowił ogniwo łączące ją z czyjąś gwałtowną śmiercią. Tak samo jak Dan, który zginął z powodu jej... zaraz, to nieprawda. Zginął, ponieważ znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Czy nie wyjaśniła sobie tego wolno, boleśnie, w ciągu ostatnich dwóch lat?

To wszystko nie miało żadnego sensu. Ani jej myśli, ani jej uczucia. Może nie powinna się w nie wgłębiać. Związek z Michaelem prowadziłyby donikąd, a nie mogła sobie pozwolić na przelotny romans. Ale przecież nikt by się nie dowiedział...

Myśl zawstydziła ją, lecz trudno było ją odeprzeć. Ona sama by wiedziała. Próbowwała się modlić, ale nie mogła zebrać myśli. Rozpływały się, umykały...

- Hej, zasypiasz na siedząco. Pora do łóżka.

Poderwała głowę i zamrugała.

- Racja. Jak twoja noga? - spytała, widząc, że Michael znowu nakłada maść na ranę.

- Lepiej, kiedy sobie odpocząłem. Kładź się, ja się zajmę ogniem.

AJ. wyciągnęła się na ziemi z westchnieniem. Gdybym nie była tak zmęczona, pomyślała, pewnie okropnie by mnie to krępowało. Tymczasem odpłynęła w sen, gdy tylko się położyła.

Ledwie poczuła, kiedy kładł się obok i naciągał na oboje lekkie okrycie. Czuła się bezpieczna. I winna.

Otworzyła oczy w mroku.

- Michael?

- Tak?

- Przepraszam.

Już zasypiała znowu, kiedy usłyszała jego szept.

- Ja też.

Ziemia była twarda. Kobieta w jego objęciach - miękka i ciepła. Michael obawiał się, że nie zaśnie łatwo.

Ona tymczasem spała. Spokojnie i głęboko. Zupełnie tego nie rozumiał. Trudy ostatniego dnia wystarczyłyby, żeby kamień wydawał się wygodnym łóżem, ale ona przytuliła się do niego tak ufnie. To nie miało sensu.

Dał jej jasno do zrozumienia, że jej pragnie. Okazała równie dobitnie, że ona go nie chce. Och, fizycznie tak. Chciałby, żeby ta świadomość podniosła go na duchu. Nic z tego. Nie wtedy, gdy odrzucała jego - jego działania, jego wybory, jego karierę. Jego życie.

A jednak przytuliła się do niego, jakby sypiali razem od lat. Jak gdyby całkowicie mu ufała. I co on miał z tym zrobić?

Kobieta zawsze pozostaje tajemnicą, pomyślał. Może ma to jakiś związek z hormonami? Poza tym, nie brakowało jej odwagi. Kobieta, która była gotowa zrezygnować z ucieczki, by pozostać przy chorej towarzysze, nie zawahałaby się przed znoszeniem drobnych niewygód - jak spanie z nim pod jednym kocem.

Lecz odwaga nie oznacza braku strachu. AJ. mogłaby nad nim zapanować, lecz nie zdołałaby go ukryć. A w ciepłym ciele obok siebie nie wyczuwał lęku.

Noc była ciemna i niespokojna, pełna cichych dźwięków. Krzaki szeleściły, wiatr szumiał w liściach nad głową. Noga bolała go silnie, nie pozwalając zapomnieć o ranie. AJ. spała, oddychając cicho i wolno. Jej włosy łaskotały go w podbródek. Pachniała przyjemnie.

Dziwne, jak miło było wdychać jej zapach, leżąc z zamkniętymi oczyma... ciekawe, czy jej też się podobał jego zapach? Feromony, pomyślał sennie. Nadal się nad tym zastanawiał, kiedy wyczerpanie sprowadziło wreszcie na niego sen.

Niedługo przed świtem zaczęło padać.

Alyssa pierwsza przypomniała sobie o butach. Zerwała się z posłania i rzuciła w stronę wygasłego ogniska.

- Bardzo przemokły? - spytał Michael, podnosząc nakrycie, tak aby mogła się ppd nie schronić wraz z butami.

- Nie

Głos miała lekko zdyszany, być może z powodu nagłego



ruchu. A może dlatego, że dostrzegła równie wyraźnie to, co on zauważył: jak doskonale do siebie pasowali, przytuleni ściśle pod srebrnym okryciem.

Korony drzew chroniły ich przed ulewą, przepuszczając tylko niekiedy zbłąkane krople. Ruszyli w drogę; kiedy szlak zwęził się znowu, zmieniając w ścieżkę, deszcz przeszedł w mżawkę. Ustał zupełnie późnym rankiem. Pod sklepieniem drzew było ciepło i panował półmrok. Podobno żyły tu mrówkojady, tapiry, pancerniki, pekari i jelenie, na razie jednak wszystkie widziane przez nich zwierzęta miały sześć lub osiem nóg.

Nie znaleźli też żadnych owoców. A.J. umierała z głodu, kiedy w południe natknęli się na wioskę.

- Nie pozwolę ci ich okraść - szepnęła buntowniczo.

Jakieś sto metrów niżej rozciągała się wąska dolina, a w niej tuliło się kilka chat. Prawdopodobnie należały do *colonos*. Z rozpaczliwego głodu ziemi ścięli lub wypalili kilka drzew, by oczyścić niewielkie pole, które obrabiali wspólnymi siłami. Była to najprymitywniejsza forma uprawy, najbardziej przyczyniająca się do zniszczenia puszczy, lecz tylko w ten sposób mogli przetrwać.

A.J. i Michael kłócili się, odkąd zauważyli chaty. Jak dotąd kobieta przegrywała.

- Tak? - spytał. - Jak mnie chcesz powstrzymać?  
- Skazujesz ich na śmierć z głodu.  
- Przesadzasz, wielebna. Zostawię im trochę pieniędzy.

Poruszył się niecierpliwie. A.J. zagryzła wargę.

- Jeśli cię złapią...

- Nie złapią.

Może i nie. Jeśli wszyscy pracują na polach, może mu się uda wślizgnąć i wyślizgnąć niezauważenie. Jednak wtedy nie dostaną lekarstwa na jego nogę - a między innymi dlatego AJ. wolała prosić o pomoc niż kraść. Nie zamierzała mu jednak o tym wspominać nawet słowem. Michael nigdy by nie przyznał, że czuje się gorzej.

- Zachowujesz się jak paranoik.

- Być może. Z mojego punktu widzenia ty jesteś niebezpiecznie naiwna.

Obróciła się i przyjrzała mu uważnie. Usta miał zaciśnięte z bólu, opierał się o pień drzewa. Przez ostatnią godzinę utykał mocno.

- Twoja noga...

- O moją nogę się nie martw - rzucił cierpko. - Nie mogę biegać, ale mimo to potrafię poruszać się cicho.

AJ. spróbowała ostatniego argumentu.

- Tych ludzi nic nie obchodzi polityka, a nie mogą sobie pozwolić na utratę pary rąk do pracy tylko po to, żeby posłać kogoś do El Jefe.

- Nie będą musieli, jeśli trafi tu któryś z jego oddziałów, I możesz mi wierzyć, że El Jefe z pewnością będzie chciał dopaść oficera Stanów Zjednoczonych, który zaatakował jego kwaterę.

Poczuła zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa,

- Nie widzieliśmy żadnych oddziałów.

Wzruszył ramionami.

- To nie znaczy, że nie ma ich w okolicy. Czekaj tu na mnie.

AJ. była wściekła i wystraszona. Nie podobało jej się to,

co zamierzał zrobić - lecz nie mogła go powstrzymać. Ani mu pomóc.

- Będziesz uważał? - Dotknęła jego ręki. - Jakiś ty rozpalony! Masz gorączkę.

- Wszystko w porządku. - Podniósł swoją laskę. - Zostań tutaj i bądź cicho. Jeśli nie wrócę za godzinę...

Urwał, zmarszczył brwi i spojrzał w stronę wioski.

Ona popatrzyła również.

Coś się działo. Mieszkańcy - kobiety i dzieci - uciekali do dżungli/Mężczyźni zostali na polach, ale przerwali pracę. Patrzyli na drogę.

- Nie możesz teraz tam iść. Ludzie są zaniepokojeni. Zobaczą cię.

- Coś ich wystraszyło. Muszę się dowiedzieć, co. - Jego uśmiech miał być pewnie uspokajający. - Niedługo wrócę. Za jakieś dwadzieścia minut. Nie martw się.

Nie martwić się?

Miał rację. Ranny czy nie, nadal umiał się poruszać bezszelestnie. Patrzyła, jak znika wśród drzew.

Schodzenie w dół było koszmarne. Powrót okazał się jeszcze gorszy.

W połowie zbocza Michael zatrzymał się, ciężko dysząc. Zdecydowanie zbyt ciężko jak na tak niewielki wysiłek.

Fakt, miał gorączkę. Nie bardzo wiedział, czemu tak bardzo nie chciał tego przyznać. Może nie chciał wysłuchiwać narzekań AJ. Poza tym z początku sam nie zdawał sobie sprawy z tego, że czuje się gorzej. Miał ochotę kłać na czym świat stoi, ale musiał iść dalej. Tyle tylko mógł zrobić. Aspi-

ryna w jego apteczce zamokła i nie nadawała się już do użytku.

Na skali od jednego do umarłego oceniał swoją gorączkę na jakieś siedem punktów. To, czego się dowiedział, było jeszcze gorsze.

Spojrzał w górę zbocza. AJ. będzie się niepokoić. Nie było go dłużej, niż obiecywał.

Nie dlatego, że kradł koce i żywność. Ta możliwość przestała wchodzić w grę, gdy się zorientował, że do wsi przybyli ludzie El Jefe. Podśluchał dość, by wywnioskować, że samowładny przywódca stracił wielu żołnierzy. Z jednej strony była to dobra wiadomość, z drugiej jednak oznaczała, że przeciwnika zaczyna ogarniać desperacja. Żeby przetrwać, musiał zebrać nowe oddziały. I zdawało się, że właśnie znalazł na to sposób.

Alyssa musi się jeszcze trochę pomartwić, pomyślał cierpko, ruszając pod górę. Och, da jej wybór. Jednak był prawie pewien, na co dziewczyna się zdecyduje.

- Oczywiście, że zostanę z tobą.

Michael pokręcił głową. Skąd wiedział, że AJ. to właśnie powie? Mimo to musiał się upewnić, że kobieta wie, co ryzykuje.

- Żołnierze El Jefe ścigają teraz mnie, nie ciebie, rozumiesz? Musi mnie dopaść, żeby udowodnić, że Stany Zjednoczone mieszają się w sprawy wewnętrzne San Christóbal, i dzięki temu zdobyć poparcie swoich sąsiadów. Inaczej wszyscy się od niego odwrócą. Jeśli się rozdzielimy, prawdopodobnie dadzą ci spokój. Mogłabyś zostać w najbliższej wsi, do jakiej dotrzemy, i posłać wiadomość. Wcześniej czy później ktoś by po ciebie przyjechał.

- A ty prawdopodobnie umarłbyś od zakażenia, którego rzekomo nie masz.

- Myślisz, że nałożysz na mnie ręce i mnie uzdrowisz, wielebna? Posuwałbym się szybciej bez ciebie. A muszę jak najprędzej przekroczyć granicę.

Zbladła lekko.

- Och. Nie... pomyślałam o tym. Oczywiście. Tjdybyś mógł mi dać trochę zapalek i... nie, noż sam będziesz potrzebował.

Starła się mówić z opanowaniem, ale w oczach widać było strach.

Cholera. Dlaczego jej to robi? Przechesał palcami włosy.

- Nie chcę cię zostawić. Chcę tylko, żebyś wiedziała, na co się decydujesz.

- Wiem.

Poczuł ogromną ulgę.

- Więc nie będziemy musieli losować, kto weźmie to.  
- Sięgnął za siebie i podniósł jedyną rzecz, jaką udało mu się ukraść: pogiętą pięcioletnią puszkę po kawie. - Nasz nowy garnek. I nie mów więcej, że nigdy nic ode mnie nie dostałaś.

Zatrzymali się wcześniej, długo przed zmierzchem. Tym razem pozwolił, by mu pomagała: wyjaśnił, jak ułożyć drewno na ognisko, jak zrobić posłanie.

Wiedziała dlaczego. Jego gorączka wzrosła i nie miał siły zrobić wszystkiego sam. Jak zwykle myślał z wyprzedzeniem. Gdyby umarł, nim dotrą w bezpieczną okolicę, chciał, by potrafiła sobie poradzić sama..

Na tę myśl wszystko w niej drżało. Nie pozwolił mii um-

rzeć. Tylko co robić... Coś wymyśli. Musi znaleźć jakiś sposób.

Znowu jedli rybę. Smakowała wyśmienicie, ale nie napełniła AJ. żołądka. Michael musiał czuć jeszcze większy głód, lecz uparł się, by równo podzielić zdobycz.

Może jutro znajdą owoce.

Nareszcie mogli przegotować wodę. A.J. nie trzeba było namawiać, żeby wypijała swoją porcję. Przypilnowała, żeby Michael też się napił do woli. Z pewnością był odwodniony z powodu gorączki. Odeszła na stronę. Kiedy wróciła, mężczyzna opatrywał sobie ranę. Zmarszczyła czoło. Znowu zaczekał z tym, aż jej przy nim nie będzie. Tym razem podeszła prosto do niego.

- Bardzo źle?

Bez pośpiechu owijał bandaż wokół nogi.

- Zagoi się.

- Cholera, przestań mnie traktować jak dziecko!

Uniósł brwi.

- Przeklinamy, wielebna?

- Nazywasz mnie wielebną tylko wtedy, kiedy chcesz mnie odstraszyć.

- Doprawdy?

- Powinieneś mi powiedzieć, jak jest naprawdę. Może mogłabym pomóc. Nie jestem pielęgniarką, ale przeszłam szkolenie medyczne.

- Ja też. Dam sobie radę sam.

- Widzę.

Zacisnęła pięści z bezsilnego gniewu.

- A jeśli nie będziesz mógł iść? Będziesz mnie trzymał na muszce, żebym się przypadkiem nie zbliżyła?

Podciągnął spodnie i podniósł się z pomocą kija.

- Idę spać. Jak chcesz, możesz jeszcze posiedzieć przy ognisku i popracować nad swoim kazaniem. Wymaga drobnych poprawek.

A.J. stała w zapadającym mroku i patrzyła, wciąż zaciskając pięści, jak Michael z trudem odchodzi od ognia.

Zawsze uważała, że w bajce o myszy, która wyjęła cierń z łapy lwa, nie ma za grosz sensu. Wielki drapieжник, rozwścieczony własną bezradnością, zabiłby słabą mysz jednym uderzeniem łapy.

Dobrze, że nie jestem myszą, pomyślała.

Bez słowa przyłączyła się do mężczyzny i przykryła cienką folią. Jego ciało było równie silne i dodające pewności jak ubiegłej nocy. Było też ciepłe. Znacznie cieplejsze niż wczoraj.

Leżała bezsennie, słuchając nocnych odgłosów i równego oddechu śpiącego Michaela. Zasnął niemal natychmiast.

Ona nie spała. Mimo wyczerpania leżała w pełni przytomna, analizując możliwości, rozmyślając, modląc się.

Im bardziej się upierała, że Michael potrzebuje jej pomocy, tym bardziej on ją odtrącał.

Niektórzy ludzie nie umieją sobie poradzić z własną bezradnością. Nie była pewna, czemu tak jej zależało na tym, by przyjąć jej pomoc - wiedziała jednak, że jego reakcja bardzo ją zabolowała.

No cóż, jakoś to przeżyje. Żadnemu z nich nie przyniesie korzyści, jeśli będzie próbowała go zmusić, by jej zaufał wbrew woli.

A Michael nie ma żadnego powodu jej ufać, przypomniała sobie. Prawie się nie znają. A jeśli wydaje im się, że

jest inaczej, wynika to jedynie z sytuacji, w jakiej się znaleźli.

Jednak bez względu na to, czy chciał to przyznać, czy nie, Michael jej potrzebował. Był chory, ranny i będzie musiał się na niej wesprzeć, jeśli chcą wyjść żywi z tej przygody.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Temperatura mi spadła - oznajmił Michael rankiem, gdy dziewczyna wróciła znad strumyka, gdzie myła zęby.

Ten drobny rytuał sprawiał, że czuła się bardziej sobą.

Mężczyzna siedział na skale, zawiązując sznurowadła. Rzeczywiście był mniej rozpalony i patrzył przytomniej. Oczywiście, gorączka często spada rankiem, by podnieść się znowu po południu.

W jego oczach A.J. dostrzegła ulgę. Nie zamierzała jej go pozbawiać.

- To doskonale - odparła, składając przykrycie.

- Nie jestem przyzwyczajony do chorowania - wyjaśnił. Sięgnął po kij i podniósł się z ziemi. - Nie pamiętam nawet, kiedy ostatni raz byłem chory. Musiałem być jeszcze dzieckiem.

- Jeśli w ten sposób chcesz przeprosić za to, że wczoraj wieczorem zachowywałeś się jak marudny smarkacz, to przeprosiny zostały przyjęte.

- Marudny smarkacz, tak?

Wyszczerzył zęby.

I znowu znalazła się w tarapatach.

Zawrócił jej w głowie. To było przejściowe, oczywiście - skutek izolacji, niebezpieczeństwa, tego, że uratował jej życie... oraz tego, że był tak niezwykle przystojny. Znała

dobrze te objawy z czasów college'u, kiedy przeżywała jedno zauroczenie po drugim. Teraz jednak była starsza i mądrzejsza. Poradzi sobie z tym.

A jednak cały świat wyjaśniał, kiedy Michael się do niej uśmiechnął.

W południe gorączka wróciła.

Tym razem mężczyzna nie próbował udawać, że jest osłabiony. Przez kilkadziesiąt metrów kłął cicho, lecz gdy doszli do strumienia, zdecydował się zatrzymać na postój wcześniej, niż planował. Posłał Alysę po drzewo, żeby mogli zagotować wodę.

Musiał dużo pić.

Nie utyskiwała; nie pytała, jak się czuje. Cicho, zrećnie robiła, co jej polecił. Nie wiadomo czemu, to też go irytowało.

Kiedy szukała drzewa, przejrzał mapę. Z wcześniejszych pomiarów wiedział, że znajdują się około czterdziestu pięciu kilometrów od granicy i drugie tyle od najbliższego miasta po gwatemalskiej stronie.

Teren jednak był górzysty. Gdyby Michael był w dobrej kondycji, pokonałby trasę w kilka dni. Teraz jednak... starannie złożył mapę.

Będzie miał szczęście, jeśli w ogóle uda mu się tam dotrzeć. Nie chciał umierać, zostawiając tyle spraw nie dokończonych. Co będzie z Adą? Czy Jacob i Luke dostaną pieniądze, jeśli on zginie?

Nie, stanowczo nie chciał umierać z powodu głupiej gorączki, przez którą stawał się słaby, niezdolny zadbać o siebie, nie wspominając już o kobiecie, którą miał chronić.

Ładny z niego bohater. Może powinien dać Alyssie do zrozumienia, że to przez nią posuwają się wolniej, i skłonić, by się rozdzielili? Nadal jednak nie wierzył, by kobieta dała sobie radę sama. Musi wziąć się w garść. Zostało mu jeszcze sporo sił.

- Nie znalazłam zbyt dużo. Tyle wystarczy?

Stała przed nim z naręczem gałązek, brudna, lecz uśmiechnięta szeroko. Coś drgnęło w jego wnętrzu - coś dziwnego, ciepłego i niepokojącego.

- Zobaczmy, ile zapamiętałaś z lekcji. Ułóż ognisko - polecił.

Co się stanie z Alyssą, jeśli on umrze, nim doprowadzi ją w bezpieczne miejsce? Podniósł się na nogi, wspierając się ciężko na swojej lasce.

- Przyniosę wody.

- Powinieneś oszczędzać nogę. Ja przyniosę.

Poczuł niespodziewany gniew.

- Do jasnej cholery, przestaniesz się wreszcie mnie czeplić? Powiedziałem, że ja to zrobię.

Wściekłość zniknęła niemal tak szybko, jak się pojawiła. AJ. miała rację. Gdyby była jednym z jego ludzi, posłałby ją po wodę, nawet się nie zastanawiając. Była teraz sprawniejsza od niego.

Tyle tylko, że nie potrafił znieść swojej słabości. Zależności od AJ. Miał ochotę wyć.

Kiedy wrócił, ognisko było już gotowe. Odetchnął głęboko.

- Przepraszam - powiedział.

Rzuciła mu spokojne, niezgłębione spojrzenie.

- Zdaje się, że oboje musimy się wiele nauczyć. Co sądzisz o moim ognisku?

Nie było idealne, ale wystarczyło. Pokazał jej jeszcze raz, jak je zapalić, a potem pozwolił zagotować wodę. A kiedy wrzątek się studził, nauczył ją używać GPS-u i czytać mapę topograficzną. Na wszelki wypadek.

Obóz na nocleg rozbili nad kolejnym strumykiem dobrze przed zmierzchem. Kolacja była prosta i niezbyt sycąca. Wcześniej natrafili na drzewo mango. AJ. wspięła się na nie - Michael został na ziemi, zagryzając wargi. Owoce okazały się niedojrzałe, lecz jadalne. Później spotkali bananowiec. Twarde, mączyste banany smakowały całkiem nieźle, upieczone na kamieniach przy ogniu.

Zanim zjedli, AJ. zabrała nad strumień koszulę Michaela i wyprała ją najlepiej, jak się dało. Potrzebował rękawów, by zrobić z nich nowy opatrunek; bandaż przetarł się i nadawał już tylko na okład.

Kiedy wróciła, przyjrzała się uważnie mężczyźnie. Nie wyglądał dobrze. Oczy błyszcząły mu od gorączki, na policzkach miał wypieki, lecz poza tym skóra przybrała niezdrowy, szarawy odcień. Włosy przylepiły mu się do spoconego czoła. Odcinał nożem rękawy od koszuli.

AJ. przysiadła na piętach.

- Gorące okłady - powiedziała.

Podniósł wzrok.

- Co takiego?

- Na twoją ranę. Nie wiem, czemu nie pomyślałam o tym wcześniej. Gorąco powinno zabić zarazki.

Zawahał się, potem wręczył jej jeden z rękawów.

- Nie powinno zaszkodzić. Pewnie będzie boleć jak cholera, ale może poskutkować.

- Jesteś gotów?

Skrzywił się, kiwnął głową i zaczął rozpinąć spodnie.

Odwrociła wzrok. Do tej pory powinna się już przyzwyczaić, że Michael rozbiera się przed nią swobodnie. Było jednak inaczej.

Zmoczyła wodą złożony kawałek materiału.

- Niech trochę przestygnie. Woda prawie się gotowała.

- Musi być gorący, jeśli ma poskutkować.

Sięgnął po okład, sprawdził jego temperaturę i przyłożył do zaczerwienionej, obrzękłej rany.

Syknął z bólu, zacisnął zęby.

- Matko Boska i wszyscy święci. Powinno podziałać. Przynajmniej oczyści ranę. Pilnuj, żeby woda była gorąca. Musimy to powtórzyć.

- Masz - podała mu srebrzysty „kosmiczny koc”. - Okład będzie dłużej gorący.

Michael nakrył się i sięgnął znowu po puszkę z wodą.

- Opowiedz coś. Przyda mi się, jeśli coś odwróci moją uwagę.

- Wyciągnąłeś już ode mnie wszystkie najlepsze historie.

Wypytywał ją przez całe popołudnie, pewnie z tego samego powodu: żeby oderwać myśli od bólu.

- Nie wspominałam tylko o swoich najgorszych występach w college'u, ale ich nie zdradzę nikomu.

- Założę się, że ja rozrabiałem gorzej. Przekonajmy się: ty mi opowiesz swój najmroczniejszy sekret, a ja zdradzę ci mój.

AJ. spojrzała na niego z namysłem.

- Wydaje ci się, że nie mam żadnych mrocznych sekretów, prawda?

- Sama mówiłaś, że byłaś prymuską.
- W liceum. Bujne życie zaczęłam w college'u.

Uśmiechnął się z niedowierzaniem.

- Akurat.

Przyłożył do ust plastikową manierkę z wodą.

- Na pierwszym roku straciłam dziewictwo w szatni chłopaków.

Michael aż się zakrztusił.

- Bujasz.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Chodziłam z kapitanem drużyny koszykarskiej, a on miał klucz. Zawsze się zastanawiałam, czy ich szatnia jest lepiej wyposażona od naszej. Więc kiedyś późnym wieczorem wszystko mi pokazał.

- I jak ci się podobało wyposażenie?

- Hm — mruknęła, żałując, że postanowiła mu zaimponować. - Powiedziałam ci moją tajemnicę. Teraz kolej na ciebie.

- Ja byłem bardziej konserwatywny. Pierwszy raz robiłem to, jak miałem siedemnaście lat, na tylnym siedzeniu mojego jaguara.

Kto czekał do siedemnastych urodzin, żeby stracić cnotę? Z pewnością nie brakowało mu okazji. Już miała zacząć się z nim drażnić, lecz w ostatniej chwili powstrzymał ją zdrowy rozsądek. Dość tych rozmów o seksie.

- Miałeś jaguara w wieku siedemnastu lat? - Pokręciła głową. - Rzeczywiście musiałeś być bogaty.

- Dostałem go od Jacoba, mojego najstarszego brata. To była łapówka, żebym został w szkole wojskowej, do której zapisał mnie tato. Wóz był używany, Jacob sam go wyremontował.

- Naprawdę?
- Samochody to jego druga miłość.
- A jaka jest pierwsza?

AJ. wykręciła podany przez Michaela okład i znowu po-  
lała go wodą.

- Pieniądze. Wie, jak je zdobyć. Podobnie zresztą jak  
Luke, chociaż używają różnych sposobów. Luke... - urwał,  
kiedy przyłożył materiał do rany. - Tym razem jest chłod-  
niejszy - zauważył.

- Wystarczy. Oparzenie drugiego stopnia nie przyspieszy  
gojenia. Kto to jest Luke? Twój drugi brat?

Michael kiwnął głową.

- Jest sportowcem. Zdobył złoto na olimpiadzie, a potem  
zajął się hodowlą koni.

- Wygląda na to, że wszyscy w twojej rodzinie cierpią na  
nadmiar ambicji.

Wykrzywił usta.

- Ja jestem normalny.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Ciekawe. Mówisz to zupełnie poważnie, siedząc tutaj  
z dziurą w nodze i gorączką, spędziwszy ostatnie trzy dni na  
uciekaniu przez dżunglę przed ścigającą cię armią.

Odwrócił wzrok.

- To mój zawód. Gdybym był jak moi bracia, zostałbym  
do tej pory co najmniej kapitanem.

Z jakiegoś powodu było to dla niego ważne. Z jakiegoś  
powodu nie zdawał sobie sprawy, jak niezwykłym jest czło-  
wiekiem. I z jakiegoś powodu AJ. nie mogła tego znieść.  
Nachyliła się do przodu, zdeterminowana, by zmusić go do  
słuchania.

- Ty też grasz, żeby wygrać, Michael. Tak samo jak twoi bracia. Tylko że ty grasz o wyższą stawkę: ludzkie życie, wolność, pokój. Ty też masz ambicję. Jesteś jednym z najniezwyklejszych ludzi, jakich znam - dokończyła cicho.

Spojrzał na nią z niechęcią.

- Nie myśl, że w to uwierzę. Nasłuchiwałem się dzisiaj dość o Danielu Kelleherze, żeby wiedzieć, że uważasz go prawie za świętego. I wiem, co myślisz o mnie.

Nie, wcale nie wiedział. AJ. też nie, choć zdawała sobie sprawę, że jej opinia o nim i wielu innych sprawach ulega zmianie.

- Daniel wcale nie był święty. - Zdumiewające, jak łatwo było się uśmiechnąć. - Ciągłe się spóźniał. Myślał za dużo o sobie i nie pamiętał o niczym, co go nie interesowało. Nie masz pojęcia, ile razy go prosiłam, żeby kupił coś w drodze do domu, a on zapominał. To dlatego... - zająknęła się - dlatego znaleźliśmy się wtedy w supermarkecie. Zapomniał kupić mleka.

Michael przyglądał się jej uważnie przez długą chwilę, nie mogła jednak odgadnąć, o czym myśli. Potem zająknął pod koc.

- Ostygło znowu.

I podał jej opatrunek.

Umilkła jak on wcześniej. Wzięła bandaż i odeszła na bok. Najwyraźniej powiedziała zbyt wiele, podeszła za blisko do jakiejś niewidzialnej granicy i Michael wolał udawać, że wcale się nie odzywała.

Ogień przygasł i woda nie chciała się zagotować. AJ. przysunęła puszkę bliżej do płomieni i usiadła z kolanami podciągniętymi do piersi.



Długą chwilę później Michael odezwał się:

- Mój ojciec zmarł na tydzień przed ślubem ze swoją szóstą żoną.

Zdumiona, odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć.

- Był żonaty sześć razy?

- Właściwie siedem, z sześcioma kobietami. Z matką Luke'a ożenił się dwukrotnie. - Skrzywił się. - Nie wiem, co ci powiedzieć. Ty przynajmniej wiesz, co to prawdziwe małżeństwo. Trwałe. Dla mnie to jak przechadzka po Księżycu. Wiem, że niektórzy ludzie to robią, ale nie ma to ze mną wiele wspólnego. Nigdy tego nie przeżyłem. Moja mama była czwartą żoną ojca. Zanim zmarł, miałem trzy macochy, nie licząc kobiet, które się wokół niego kręciły w przerwach. Nie potrafię sobie wyobrazić, co znaczy dla ciebie utrata kogoś, z kim zbudowałaś prawdziwe małżeństwo.

- Michael... - odezwała się, potem umilkła ze ściśniętym gardłem.

Teraz to ona nie wiedziała, co powiedzieć. Oczy ją piekły. Nie był to dym z ogniska, choć chciała w to wierzyć, ani coś równie altruistycznego jak współczucie.

- Chyba woda już się zagrzała.

Zagryzła wargi, przygotowując kompres, spróbowała się opanować.

Ich palce się zetknęły, kiedy podawała mu zmoczony bandaż.

- Cholera. Tym razem jest naprawdę górą... - urwał, przykładając okład na nogę.

Przez parę sekund siedział bez słowa, starając się wytrzymać ból.

Kiedy zaczął mówić znowu, głos miał ściszony, nieco ochrypły.

- Prawdziwi bohaterowie to ludzie tacy jak twój Dan. Tacy, którzy potrafią sobie radzić w codziennym życiu. Na których można liczyć w każdej sytuacji. To wymaga odwagi, jakiej ja nie mam ani nie rozumiem.

Serce biło jej mocno.

- Czyżbyś mnie ostrzegał?

Cień zwykłego uśmiechu przemknął mu po ustach.

- Po co miałbym to robić? Nie jesteś taka głupia, żeby się zakochać w kimś podobnym do mnie. Gdybyś jednak chciała nadrobić to, na co nie ośmieliłaś się jako nastolatka...

- Daj spokój.

Wstała niespodziewanie.

- Idę się umyć, zanim się zrobi całkiem ciemno.

Kiedy wróciła, Michael już spał. Zgasiła ogień i położyła się obok niego.

Leżał na plecach, bez kamizeli i spodni. Skórę miał rozpaloną i suchą. Przyłgnęła do niego opiekuńczo.

Po co go męczyła tą długą rozmową? Znowu próbowała stworzyć między nimi zażyłość, której on nie chciał. Poczowała złość na samą siebie.

I naprawdę ją ostrzegał, chociaż temu zaprzeczył. Miał rację. Gdyby nie martwiła się o niego tak bardzo, czułaby się teraz zawstydzona. Rozpoznał jej uczucia, zanim ona sama mogła je zanalizować, i delikatnie dał jej do zrozumienia, że są skazane na porażkę.

Zamknęła oczy, zbyt zmęczona, żeby płakać. W którymś momencie zdała sobie sprawę, że nie różnią się od siebie tak bardzo, jak sądziła. Oboje byli beznadziejnymi

idealistami. On tylko próbował osiągnąć swoje innymi środkami.

Był niezwykłym człowiekiem. I bardzo poranionym przez życie. Mądrym na tyle, by o tym wiedzieć, i dostatecznie wrażliwym, by ją przed tym ostrzec.

Więc również pod tym względem byli bardziej do siebie podobni, niż myślała. A mimo to tak wiele ich dzieliło. On pochodził z bogatej, lecz pozbawionej ciepła rodziny. Ją wychowali nadmiernie opiekuńczy rodzice, rzadko mogący sobie pozwolić choćby na wakacyjny wyjazd.

Mimo to go pragnęła. Leżąc na twardej ziemi, otoczona przez noc, trzymając w ramionach jego rozpalone gorączką ciało, płonęła z pożądania.

Westchnęła i odgarnęła wilgotne włosy z jego twarzy. Nie poruszył się. Michael nie był jej przeznaczony, tak jak ona nie była dla niego, lecz mimo to zasługiwał na miłość. Kiedy to wszystko się skończy, AJ. pozwoli mu odejść i będzie się modlić, by znalazł kobietę swojego życia. Teraz jednak, przez ten krótki okres, należy do niej.

Około południa dwa dni później AJ. zrozumiała jasno: jeśli nie zdarzy się cud, nie uda im się osiągnąć celu.

Próbowali jeszcze przez dwa dni. Gorące okłady trochę pomogły, lecz infekcja musiała ogarnąć całe ciało Michaela. Gorączka mu nie spadała, w nocy rosła gwałtownie.

AJ. była głodna. Głód, jakiego nie zaznała nigdy wcześniej, szarpał jej wnętrzności. Znaleźli trochę owoców - niewielkich, zielonych guajaw - ale Michael nie pozwolił jej zjeść za dużo. Biegunka i odwodnienie stanowiły większe zagrożenie niż pusty żołądek.

Wcześniej tego dnia widzieli małego jelenia, a AJ. marzyła o dziczyźnie. Jednak ręka drżała Michaelowi tak bardzo, że nie zdołał strzelić. Stał później ze zwieszoną głową, klnąc na czym świat stoi.

AJ. nie rozumiała, w jaki sposób on wciąż jeszcze daje radę iść. Temperatura prawie mu nie spadała, a nadal znajdowali się o co najmniej dzień drogi od granicy.

Była śmiertelnie przerażona, nie pokazywała jednak tego po sobie. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebował Michael, to radzić sobie z jej strachem oprócz własnego. Bez względu na to, jak bardzo to ukrywał, musiał umierać ze strachu.

Niebo chyba się zachmurzyło, bo w lesie zrobiło się ciemniej. Mogło być około południa. Szlak był w tym miejscu stromy i często zarośnięty przez pnącza i krzewy. Wspięli się już wysoko, gdzie dominowały drzewa iglaste, choć wśród sosen ocote wciąż jeszcze trafiały się dęby encina.

Michael szedł przodem, wyposażony w swoją broń, mapę i wiedzę. Skóra lśniła mu od potu. Miał na sobie tylko rozpiętą kamizelę i wojskowe spodnie; dwa wieczory wcześniej przerobił swoją laskę na prymitywne szczudło, dowiązując do niej krótką poprzeczną gałąź i owijając ją koszulą.

Posuwał się bardzo wolno.

Chciała mu pomóc, podzielić się z nim swoją siłą. Choć głodna i wyczerpana, nadal była w lepszej kondycji niż on. Raz już jednak zaproponowała swoje ramię i spotkała się z uprzejmą odmową - oraz spojrzeniem pełnym takiej furii, że więcej nie próbowała tego robić.

Idący przodem Michael stanął. Szła dalej, zbliżając się do niego. Myślała, że chce odpocząć, jak robił to wiele razy tego dnia.

On jednak stał całkiem nieruchomo.

- Co się stało? - spytała z niepokojem.

Pokręcił głową i przesunął się lekko, tak żeby mogła stanąć obok niego. Podeszła i położyła mu rękę na barku.

Ależ był rozpalony!

Nad jego ramieniem zobaczyła, że ścieżka opada stromo w dół w kolejną niewielką dolinę. Do wsi.

Prawdziwa wieś. Ze trzydzieści chat. Widziała pola i pracujących na nich ludzi. Dobiegło ich czyjeś wołanie - tak ludzkie, radosne i zwyczajne, że do oczu napłynęły jej łzy.

- Leży na uboczu - powiedział gwałtownie Michael. - Ludzie El Jefe mogli tu nie dotrzeć, a nawet jeśli, nie będą szukać ciebie. To twoja najlepsza szansa.

- Nasza najlepsza szansa - poprawiła.

- Nie mogę ryzykować.

- Więcej ryzykujesz, nie prosząc o pomoc.

Złapała go za ramiona, chcąc go przekonać.

- Nie możesz tego dalej ciągnąć. Potrzebujesz odpoczynku, jedzenia, wszelkiej pomocy, jakiej ci ludzie zechcą ci udzielić.

Odwrócił się do niej plecami. I zachwiał się.

- Dam sobie radę.

Zacisnęła zęby z bezsilnej złości. A może z rozpacz. Michael musi się pogodzić z prawdą.

- Umrzesz, jeśli ci ktoś nie pomoże.

- Jeśli pójdę dalej sam, tylko ja ryzykuję. Jeśli pójdę do wioski, ryzykuję, że dopadną mnie ludzie El Jefe. Nie mogę na to pozwolić.

A więc wiedział, że pewnie mu się nie uda, a mimo to gotów był wędrować dalej samotnie.

Zamrugnęła gwałtownie, próbując powstrzymać łzy. Godził się umrzeć dla ludzi, którzy nawet nie znali jego imienia. W tym momencie poczuła, jakby coś w jej wnętrzu gładko wsunęło się na swoje miejsce. Wzięła głęboki oddech, szukając równowagi między bolesnym opanowaniem i lekką histerią.

, Naraz zdała sobie sprawę, że wszelkie jej decyzje nie mają znaczenia. Było za późno na obawy, racjonalne czy nie. Kochała go.

- W porządku - odezwała się po chwili. - Wiesz, co powinieneś robić. Skoro nie możesz ryzykować, to nie. Robimy przerwę czy idziemy dalej?

Odwrócił się i spojrzał na nią gniewnie.

- My nic nie robimy. Ty schodzisz na dół i nawiązujesz kontakt z miejscowymi.

- Nie.

W tym momencie zagrał nieczysto. Powiedział, że nie potrzebuje, żeby Alyssa się za nim wlokła. Że jest dla niego ciężarem. I że prędzej narazi go na śmierć, niż mu pomoże.

- Nie sądzę - odpowiedziała spokojnie. - I nie obchodzi mnie, czego chcesz. Idę z tobą.

Przeczesał ręką włosy.

- Słuchaj, jeśli to zrobisz, prawdopodobnie oboje zginie my. Chcesz, żebym umierał ze świadomością, że przyczyniłem się do twojej śmierci?

- Parę dni temu dałeś mi dobrą radę. Nie ma rzeczy bardziej bezsensownej, niż obwiniać się za decyzję kogoś innego. To mój wybór, nie twój.

Wreszcie, wściekły, odwrócił się i ruszył przed siebie. W górę, w przeciwnym kierunku niż wioska.

AJ. poszła za nim.

Decyzja była całkiem prosta. Jeśli go opuści, Michael umrze.

Oczywiście, mógł umrzeć i tak. Jej wiedza i umiejętności były ograniczone. Zrobi jednak wszystko, co w jej mocy, a jeśli okaże się, że to nie wystarczy... - pomyślała ze ściśniętym gardłem - to przynajmniej nie będzie umierał samotnie.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gorączka i ból. Szarpały go, nie dawały mu chwili spokoju. Ogień palił ranę na nodze, pulsował w całym ciele. Kręciło mu się w głowie. Robiło się coraz ciemniej.

Cholerne słońce, pomyślał. Chowa się za chmurami, kiedy on potrzebuje widzieć drogę. Nie może upaść. Jeśli upadnie, chyba się już nie podniesie.

A może to już noc?

Ta kusząca myśl sprawiła, że się zatrzymał. Wpatrywał się w ciemność, chwiejąc się i mrugając od potu zalewającego mu oczy. Noc oznaczała spokój, wypoczynek. Dłoń Alyssy na jego skórze, jej ciało przytulone do niego...

- Jeszcze nie jest ciemno - mruknął, zaciskając dłoń na szczudle.

- Nie, jeszcze nie - odezwał się jej łagodny głos.

A potem wyjęła mu szczudło i zarzuciła sobie jego rękę na ramię.

- Chodźcie, żołnierzu.

To prawda, jest żołnierzem. Musi iść przed siebie, byle dalej od wioski... zapewnić bezpieczeństwo Alyssie. Ale przecież ona miała zostać we wsi. Tam byłaby bezpieczniejsza.

- Miałaś tam zostać - wymamrotał, próbując skupić wzrok na jej twarzy. - We wsi.



- Postanowiłam iść z tobą. - Jej głos był taki kojący.
- Możesz zrobić jeszcze parę kroków? Jeśli znajdziemy jakiś strumień, umyję cię i może gorączka spadnie.

Strumień. Tak, to dobry pomysł. Potrzebował wody.

Ruszył znowu przed siebie. Teraz, kiedy wspierał się na jej ramieniu, szło mu trochę łatwiej.

Kiedy upadł po raz pierwszy, pomogła mu się podnieść. Za drugim razem błagała, żeby leżał spokojnie. Nie przeklinał ani się nie sprzeciwiał. Nie miał siły. Całej energii potrzebował na to, żeby wstać. A potem iść. Jeśli się zatrzyma... nie był pewien, co się wtedy zdarzy, ale było to coś okropnego. Jego świat się skurczył; pozostał tylko ból i gorączka, i nakaz, by stawiać krok za krokiem.

Po krótkiej wieczności kolana ugięły się pod nim. Alyssa była tuż obok, pomogła mu się położyć na ziemi.

- Muszę odpocząć - mruknął, zamykając oczy. - Zaraz wstanę.

- W porządku. Odpoczywaj.

Coś opadło na niego. Podniósł powieki. Koc.

- Czy to już noc? Rozbijamy obóz?

- Już prawie. - Jej głos brzmiał dziwnie. - Śpij, Michael. Niedługo wrócę.

Wróci? Złapał ją za rękę, bardziej za sprawą instynktu niż celowego działania.

- Dokąd idziesz?

- Do wsi. - Dłoń na jego czole była chłodna i delikatna.

- Wrócę najszybciej, jak się da.

Odchodzi. Zostawia go. Tego właśnie chciał, prawda? Żeby poszła do wioski, gdzie będzie bezpieczna...

- Nie wrócisz.
- Wrócę. Obiecuję.

Nie chciał, żeby odchodziła. Potrzebował jej.

Nie, nie wolno mu.

- Nie wracaj.

- Przykro mi. Wiem, że masz swoje rozkazy. Ale ja muszę słuchać własnego sumienia. A może po prostu nie jestem tak silna jak ty. Nie mogę pozwolić ci umrzeć tylko dlatego, że istnieje możliwość, że cię złapią. Och, nieważne - zakończyła niecierpliwie. - Nie umiem tego dobrze wyrazić, a zresztą jesteś zbyt chory, żeby zrozumieć, co mówię. Odpoczywaj. - Znowu jej dłoń gładząca go po czole, kojąca. - Śpij. Wrócę.

A potem delikatny dotyk i głos zniknęły.

Omam nie krzyknął. Lecz później przypomniał sobie, że to właśnie miała zrobić: odejść... a jego nikt nie może usłyszeć, zobaczyć, odnaleźć.

Nie mogą go zobaczyć... ale leży przecież na samym środku ścieżki. To źle. Podniósł się na kolana. W głowie mu się kręciło. Nie zatrzymuj się, powtarzał sobie, pełną w stronę wielkiego, rozłożystego krzewu. Wtoczył się pod zwisające gałęzie.

Tu odpocznie. Będzie leżał i odpoczywał, aż odzyska nieco sił. Potem znowu ruszy przed siebie.

Ruszy dalej...

- Mikey, nie możesz się pośpieszyć?
- Nie chcę wyjeżdżać. - Siedział naburmuszony na łóżku. - Dlaczego musimy jechać?

- Bo twój tato wkrótce wróci do domu. Muszę stąd uciec. On mnie przytłacza. Ja... och, jesteś jeszcze mały, nie zrozumiesz. Nieważne.

Matka uśmiechnęła się, lecz usta jej drżały.

- Bądź grzecznym chłopcem i zapakuj rzeczy do walizki. Wytłumaczę... och, zapomniałam naszyjnika. Zaraz wrócę - powiedziała, wstając. - Spakuj się, proszę.

Wyfrunęła z jego pokoju na fali pachnącego jaśminem powietrza.

Michael siedział przy otwartej walizce, którą położyła na jego łóżku. Chciał płakać, ale nie mógł. Nie był już małym dzieckiem.

Nie spakował się. Wszystko bolało go w środku, kiedy o tym myślał, ale nie chciał zostawiać ojca, braci. Dokąd niby pojedą? Kto się zajmie jego mamą w obcym miejscu? Łzy niemal popłynęły mu z oczu, kiedy pomyślał, że musiałyby się nią opiekować sam.

Nie był już małym dzieckiem, ale nie był też dorosły. Nie taki duży jak Jacob ani nawet Luke. Luke miał osiem lat, cztery lata więcej od niego, a trzynastoletni Jacob wydawał się całkiem dorosły i zawsze wiedział, co trzeba zrobić. I Ada... Pociągnął nosem. Będzie tęsknił za Adą.

Bracia jednak byli w szkole, a Ada wyszła po zakupy. Michael został w domu sam, tylko z mamą.

Nie wiedział, co robić.

- Mikey? - Wróciła. - Och, Mikey, nic nie zrobiłeś. Musimy już wychodzić!

- Nie chcę nigdzie iść. Tu są moi bracia. A jeśli już nie kochasz taty, to możesz się schować, jak przyjdzie.

Bracia pomogliby mu się nią zaopiekować. Chociaż była dla nich tylko macochą, też ją kochali.

- To nie takie proste, skarbie. Bierzymy twoje nowe dżin-sy, tak?

Zaczęła składać spodnie. Naraz jej ręka zadrżała - drobny zdradliwy gest, który znał tak dobrze. Wkrótce będzie musiała się napić.

- Co ze mnie za egoistka. Rozumiem, kochanie.

Nachyliła się i pocałowała go szybko.

Zawsze poruszała się szybko, kiedy to się z nią działo, jak gdyby ktoś upchał w jej skórę zbyt wiele rzeczy i jakby chciała uciec sama przed sobą.

- Zostań tutaj, skarbie. On nie jest złym ojcem. Będziesz miał Jacoba i Luke'a, i Adę... będzie ci tu dobrze. Bóg wie, że nie... nie... - zająknęła się. - Niedługo przyjadę cię odwiedzić, dobrze? Muszę tylko..., trochę się pozbierać.

Ruszyła do drzwi.

- Mamo? - zeskoczył z łóżka. - Nie możesz jechać beze mnie!

- Tak będzie lepiej. - Podniosła swoją walizkę i uśmiechnęła się ze sztuczną wesołością. - Zobacysz, kochanie. Tak bardzo cię kocham... powtórz Jacobowi i Luke'owi, że ich też kocham, dobrze? Nie mogę na nich poczekać, żeby im to powiedzieć.

Odwróciła się i odeszła przez hol.

- Zobacysz. Już niedługo wszystko będzie lepiej.

- Mamo? - Pobiegł za nią. - Mamo, nie idź! Mamo...

Nie idź. Nie... Otworzył nagle oczy.

Światło było przyćmione, ból pulsował w nodze i w głowie. Teraz wszystko sobie przypomniał. Został ranny, a Alyssa go zostawiła. Odeszła do wioski.

Był sam. I umierał.

Alyssa, pomyślał, a może to powiedział. Obiecała, że wróci... Alyssa o łagodnych dłoniach, fantastycznych nogach

i kojącym głose. Gdyby tylko mógł ją znowu usłyszeć... Zabawne. Nie słyszał jej, ale ją widział... zachwyty na jej twarzy na widok polany pełnej motyli. Smugę błota na policzku. Niesforny kosmyk włosów wciąż opadający na twarz.

Nie było jej tutaj. Wiedział o tym. Opuściła go, a mimo to wciąż ją widział. Czy to nie dziwne?

Chroń ją, pomyślał i pozwolił, by ciemność zamknęła się wokół niego.

- Już prawie jesteśmy na miejscu - oznajmiła AJ. po hiszpańsku, wspinając się po stromym stoku.

Jakim cudem Michaelowi udało się wejść pod górę? Serce biło jej mocno, tak że ledwo słyszała głosy idących za nią ludzi. Zmusiła się, żeby zwolnić. Siostra Andrew mogła się wydawać krzepka ze swoją szeroką twarzą, ramionami i biodrami, lecz musiała mieć co najmniej sześćdziesiąt lat. A senor Pasquez, wioskowy *tepec*, czyli wójt, był jeszcze starszy.

Na szczycie wzniesienia rozejrzała się niespokojnie. Gdzie on jest? Przecież tutaj go zostawiła. Więc gdzie...?

Nie zdawała sobie sprawy, że mówi na głos, póki seiiior Pasquez jej nie odpowiedział swoją kolokwialną hiszpańszczyzną.

- Mówiłaś, że ma gorączkę. Pewnie się gdzieś odczołgał. Nie dotarł daleko. Znajdziemy go.

Rzuciła mu pełen napięcia uśmiech.

- Tak. Tak, oczywiście. On... widzę go!

Michael leżał parę metrów od ścieżki, na pół ukryty pod krzakiem. Jaki instynkt kazał mu się tam skryć? Podbiegła

do niego; siostra Andrew ruszyła za nią, zostawiając senora Pasqueza i jego osła w tyle.

Michael leżał nieruchomo. Lecz jego pierś się podnosiła. Życie wciąż jeszcze się w nim tliło.

- Michael - powiedziała, siląc się na spokój, i pogładziła go po rozpalonym czole. - Michael, przyprowadziłam pomoc.

Wolno otworzył oczy. Uśmiechnął się do niej.

- Hej - szepnął. - Teraz też cię słyszę.

I znowu stracił przytomność.

Ciągnęły go jakieś ręce. Próbował im się wyrwać.

- Spokojnie, wszystko w porządku. Musimy cię przesunąć.

Alyssa? Kazała mu się przesunąć. Ktoś ujął go pod ramiona i pociągnął. Bolało. Zacisnął zęby. Czy nadal powinien być cicho? Nie mógł sobie przypomnieć.

- Alyssa?

- Jestem tutaj - odpowiedziała. - Tuż przy tobie. Trochę potrwa, zanim cię przetransportujemy do wsi, i pewnie będzie bolało. Ale mają tam penicylinę. - W jej głosie brzmiała podniecenie. - Siostra Andrew zna się też trochę na leczeniu i miejscowych specyfikach. Pomoże ci.

Ale przecież zakonnica miała na imię Elena, nie Andrew. Andrew to imię Scopesa. Czyżby był tutaj?

Nie, to głupie. Zamknął znowu oczy. Pewnie ma halucynacje. Chociaż wolałby sobie wyobrazić, że leży w wygodnym łóżku, niż że go gdzieś wloką. Noga bolała go potwornie...

W pewnej chwili wstrząsy ustały. Usłyszał głosy, nawoływania dzieci. Dzieci? Gdzie on trafił?

Próbował skupić wzrok, ale bez skutku. Nieważne. Ważne, że Alyssa jest przy nim. Trzymała go za rękę, podczas gdy inne dłonie unosiły go, niosły... w ciemność. Leżał na czymś gładkim. Ktoś podtrzymał mu głowę, przytknął do ust kubek. Napił się chłodnej wody.

Ktoś rozpinął mu spodnie. Próbował się przedrzeć przez wir obrazów, wrażeń, myśli.

- Dlaczego? - spytał.

- Siostra musi obejrzeć twoją ranę - odpowiedziała Alyssa. .

- Nie. - Słabo pokręcił głową. - Czemu wróciłaś?

- Nie mogłam cię zostawić. Wszystko będzie dobrze, Michael. Wyzdrowiejesz, zobaczysz.

I w jakiś sposób wiedział, że to nie halucynacje. Nic z tego nie było złudzeniem. Alyssa rzeczywiście była tu z nim - w chacie. We wsi. Zrobiła dokładnie to, czego jej zabronił.

Wróciła. I byli bezpieczni.

Zalała go fala ulgi, zmiatając wszystko, porywając ze sobą w mrok.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Chłodna woda sięgała jej do pasa. AJ. sięgnęła po mydło leżące na drewnianej półce i z rozkoszą namydliła włosy. Powietrze wibrowało od śpiewu ptaków, pachniało ziemią i puszcza. Drzewa nachylały się nad wodą, lecz mimo to było widać pas czystego nieba.

Spojrzała w górę i pomyślała o Michaelu.

Gorączka spadła mu ubiegłego dnia. Wieczorem znowu wzrosła. Majaczył; wygadywał różne rzeczy.

Zanurkowała pod powierzchnię, potem wynurzyła się znowu. Woda ściekała strumieniami z jej twarzy, włosów i ramion.

- Teraz wygląda pani bardzo czysto, senora - stwierdził uprzejmy głosik po hiszpańsku.

AJ. uśmiechnęła się do czternastolatki towarzyszącej jej w kąpieli. Samotne kąpiele uważano za niebezpieczne i niestosowne.

Ubrała się szybko. Powietrze było ciepłe, ale nie przywykła paradować nago w miejscach publicznych, chociaż od domów i pól oddzielały ją drzewa.

Pilar paplała radośnie, kiedy wracały razem do Cuauhtepic. Dziewczynka zaakceptowała AJ. mimo jej dziwaczności równie łatwo, jak pozostali mieszkańcy. Nie chodziło tylko



o skłonność do częstych kąpieli. Znacznie bardziej zdumiewający był jej status. Kto kiedy słyszał o kobiecie pastorce? Nie była świętą kobietą jak siostry, nie przypominała też księży przyjeżdżających raz na parę lat, żeby udzielać ślubów, chrztów i komunii. Wieśniacy nie wiedzieli, co o niej myśleć, więc nazywali ją senorą Kelleher.

Wdowieństwo rozumieli aż za dobrze.

A.J. i Pilar rozstały się przy studni. Kobieta odwiązała wiadro, słuchała, jak plusnęło o powierzchnię wody. Jak to miło nie zawracać sobie głowy gotowaniem wody. Ani doprawiać jej jodyną, jak robił to Michael.

Michael.

Poczuła do niego miłość tak wielką, że aż zabolało ją w piersiach. Kiedy ta przygoda się skończy, rozstaną się i nie zobaczą nigdy więcej. AJ. wiedziała o tym. I akceptowała to.

Ale jakie to wspaniałe i przerażające, i piękne - być zakochaną.

Pomyślała o imionach, które wymieniał w majaczeniu - przede wszystkim imionach braci. Jacoba i Luke'a. Rozmawiał też z kimś o imieniu Ada. AJ. zmarszczyła brwi, wyciągając wiadro. Kim była Ada? Kimś ważnym, pomyślała, przelewając wodę do drugiego wiadra. Macocha? Ciotką? Przyjaciółką?

Nie płakał za rodzicami. Ale w ogóle płakał. W chorobie wrócił do dnia, kiedy jako mały chłopiec rozpaczał za matką, która go porzuciła.

- *Su novio, il esta mejor hoy!*

A.J. zamrugała, wracając do teraźniejszości. Starsza kobieta w czerwonej spłowiełej chustce na ciemnych włosach,

o ciemnych oczach lśniących ciekawie, spokojnie czekała na swoją kolej. A.J. zaczerwieniła się, speszona.

- *Perdone me, señora Valenzuela. Si, il esta mucho mejor.*

*Novio* oznaczało narzeczonego. Mieszkańcy San Christobal nie byli pruderyjni; mimo to nie było przyjęte, by kobieta, nawet wdowa, podróżowała samotnie z mężczyzną nie będącym jej krewnym. Dlatego Michael został jej *novio*. Siostra Andrew zasugerowała delikatnie, by A.J. nie sprzeciwiała się temu założeńiu, które przynajmniej po części było fikcją.

A.J. napełniła wodą drugie wiadro. Potem z trudem wzięła nosidła na ramiona. Wyprostowała się i ruszyła w stronę, największego budynku w wiosce: sierocinca.

Ona i Michael mieli wiele szczęścia. W porównaniu z innymi osadami na biednej północy, Cuauhtepac kwitło. Pola regularnie dostarczały plonów, częściowo dzięki zbudowaniu niewielkiej tamy. Wielu wieśniaków hodowało kozy lub kury; była tu dobra woda ze studni, a nawet tartak, choć obecnie nie pracował.

Istniały dwie przyczyny owego bogactwa: siostra Andrew i siostra Constancia. Dwie zakonnice założyły sierociniec piętnaście lat temu. Nie wystarczył on jednak, by wchłonać całą ich energię. W ciągu minionych lat zrobiły wiele dla polepszenia bytu mieszkańców wioski.

Jedyne, czego brakowało, to sprawnych mężczyzn. Wielu młodszych opuściło wieś, jak nakazywała tradycja, by zarabiać na plantacjach kawy po drugiej stronie gór. Potem El Jefe zaczął swą przymusową „rekrutację” i kilkunastu innych chłopów zostało wcielonych w szeregi jego wojska. Niektórym udało się wrócić. Innym -jak mężowi senory Valenzueli- nie.

Niewielki budynek zamieszkiwany przez siostry i ich podopiecznych miał wiele udogodnień. Dach był blaszany, podłoga cementowa, ściany z pustaków. Został podzielony na cztery pomieszczenia. W jednym, zajmującym połowę budynku, odbywało się gotowanie, nauka, modlitwy i zabawy. W drugiej wydzielono dwie niewielkie sypialnie, osobno dla chłopców i dziewcząt, oraz maleńką izdebkę sióstr.

AJ. weszła od tyłu, mijając szczerbatą dziewczynkę ubijającą ziarno w kamiennej stępie. W środku inna sześciolatka łuskała fasolę, a dwóch chłopców kłóciło się, którego kolej przynieść drzewo na opał. Mniejszy z nich siedział naburmuszony w kącie.

Manuel. AJ. uśmiechnęła się. Chłopca roznosiła energia i ciekawość. Niestety, nie nauczył się jeszcze przewidywać skutków swoich działań i często wpadał w tarapaty.

- Nie musisz nosić wody - zbesztła ją siostra. Andrew.  
- Mamy dość rąk do pracy.

- Ja też ją piję - odparła AJ.

Michael siedział w kącie, strugając coś swoim groźnie wyglądającym nożem. Podniósł na nią wzrok, kiedy weszła.

Skórę miał jeszcze bladą po chorobie, lecz jego oczy - och, te oczy. Dlaczego ciągle na nią spoglądał w taki sposób? Czyżby się domyślał jej uczuć? Zmieszana, AJ. zajęła się odczepianiem wiader od nosidła.

- Wygląda, że nasz pacjent znalazł sobie zajęcie.

Siostra Andrew uśmiechnęła się.

- Obiecał, że jeśli oddam mu nóż, nie będzie próbował rąbać nim drewna.

- Rąbać drewna? - AJ. wyprostowała się, spoglądając na niego groźnie. - Lepiej niech nawet nie próbuje.

Po jego wargach przemknął uśmiech. Ani na chwilę nie spuszczał jej z oczu.

- Jestem grzeczny. Chodź, zobacz, jakie mam chłodne czoło.

- Powinnam pomóc przy kolacji.

- Nonsens - wtrąciła się siostra Andrew. - Dziewczynki świetnie sobie poradzą z gotowaniem fasoli.

- Siostra Constancia...

- Też nie potrzebuje pomocy przy uczeniu maluchów katechizmu. Idź, zajmij się przez chwilę swoim mężczyzną.

Jego pośłanie składało się z dwóch koców złożonych wzdłuż na twardej podłodze. Dwa inne leżały w kącie. Na nich spała AJ. - kiedy mogła zasnąć.

Pociągał ją nawet wtedy, gdy był chory. Teraz... no cóż, teraz nie spała już przytulona do niego, lecz jakoś nie miało to znaczenia. Gdy leżała obok, nawet go nie dotykając, z pożądania bolało ją całe ciało. Nie zamierzała jednak ulegać namiętnościom. Pozwalała sobie jedynie o nim myśleć, aż żołądek ścisnął się jej w ciasny węzeł.

Gdy się do niego zbliżyła z kubkiem wody, odłożył nóż i zrobił jej miejsce obok siebie. Usiadła, utrzymując dytans kilkunastu centymetrów. Jej głupie ciało zignorowało to, reagując tak, jakgdyby zrobiła to, co pragnęły zrobić jej swędzące dłonie: pogładziła go po przedramionach.

- Miło cię widzieć znowu w formie. Co to będzie?

- Miała być miska. Siostra Andrew udaje, że potrzebuje miski, żeby mi zrobić przyjemność.

Wypił wodę i odstawił kubek.

- Znowu zgorszyłaś całą wieś, biorąc kąpiel.

Poczuła, że jej policzki robią się gorące.

- Co mnie zdradziło? Fakt, że jestem parę tonów jaśniejsza?

Dotknął jej włosów.

- To. Wyglądają jak polerowana miedź.

- Wolałabym, żebyś ze mną nie flirtował.

- Czemu? Pastorom nie wolno tego robić?

Rzuciła mu ostrożne spojrzenie. Wcześniej, kiedy wspominał o jej powołaniu, robił tak, żeby zbudować między nimi mur. Teraz jedynie żartował.

- To mnie krępuje.

- To nie to cię krępuje, Alysso. Niestety, nie mogę nic poradzić na twój prawdziwy problem. Na razie.

Pewnie. Stanowczo nie zamierzała prowadzić takiej rozmowy w obecności zakonnicy i trojga dzieci.

- Muszę przynieść więcej wody.

Zaczęła się podnosić z miejsca, lecz złapał ją za rękę.

- Już będę się dobrze zachowywał. Obiecuję.

Jego oczy śmiały się do niej, co ją zirytowało.

- Ty i ja mamy odmienne zdanie na temat tego, co to jest dobre zachowanie.

- Twoje usta wyglądają bardzo seksownie, kiedy je tak wydymasz.

Nie potrafiła powstrzymać śmiechu.

- Rób tak dalej, a za chwilę będziesz miał okazję powiedzieć, że wyglądałam pięknie, kiedy się złościę.

Uśmiechnął się i sięgnął po kawałek drewna, który obrabiał.

- Wspominałem ci, że w gorączce wzięłem siostrę Andrew za Scopesa?

- Nie. - Odprężyła się nieznacznie. - Kto to jest Scopes,

jeden z twoich ludzi? Ciagle kazałeś mu coś robić, kiedy majaczyłeś.

- Naprawdę? - zmarszczył brwi. - Dużo gadałem?

- Trochę. - Więcej, niż chciałby jej zdradzić. - Więc czemu myślałeś, że siostra Andrew to Scopes?

- On jest w połowie Irlandczykiem i mówi z lekkim akcentem, a poza tym ma na imię Andrew. Bałem się, że przeszedł jakąś okropną przemianę.

Zachichotał.

AJ. uśmiechnęła się także i pogładziła koc.

- Siostry były dla nas bardzo dobre. Wszyscy inni też. Mieliśmy dużo szczęścia.

- Szczęścia?

- Ja bym to nazwała łaską boską, ale sądziłam, że wolisz nazywać to szczęściem.

- Nie uważam się za kompletnego niedowiarka, nawet jeśli nie jestem pewien, w co wierzę. - Zabrał się znowu do strugania. - Obawiam się, że nasza obecność może narobić tym ludziom kłopotów.

- Ja też.

Na widok noża w jego rękach przeszedł ją dreszcz - głupia reakcja. Przecież to tylko narzędzie; wiele razy używał go na szlaku.

Czy używał go też do zabijania?

Potrząsnęła głową, starając się odegnąć ponure myśli.

- Siostra Andrew była zdecydowana nam pomóc od samego początku. Taka już jest. Pozostali też okazali się niezwykle hojni, biorąc pod uwagę, jak niewiele posiadają.

- Zrobię wszystko, żeby tego nie żałowali. Za dwa, trzy

dni odzyskam siły na tyle, by ruszyć dalej. Idziesz ze mną czy zostajesz?

Dwa, trzy dni? Serce podskoczyło jej w piersi. Tak szybko! Zbyt szybko. Ale przecież spodziewała się, że będzie chciał odejść jeszcze szybciej.

Spodziewała się po nim wielu różnych reakcji, kiedy przyjdzie do siebie. Gniewu z powodu tego, że sprowadziła go do wsi wbrew woli. Opryskliwości i zniecierpliwienia.

Nie był zły. Ani opryskliwy. Nieustannie tylko wodził za nią niezgłębionymi, czujnymi oczyma. Oczyma myśliwego.

Co ją ogromnie peszyło.

- Hej. - Pogładził ją po czole. - Co się stało?

- Sądziłam, że będziesz chciał ruszać dalej, kiedy tylko otworzysz oczy.

- Gorączka pomieszała mi w głowie - odparł łagodnie.

- Teraz, skoro tu jesteśmy, byłoby głupotą odejść, nim odzyskam siły.

- Więc nie będziesz próbował się wymknąć, póki rana całkiem się nie zagoi?

- Nie.

Spod noża spadła kolejna długa strużyna.

- A ty, Alysso? Czego ty chcesz?

- Czemu nazywasz mnie w taki sposób? Wolę AJ.

Przerwał pracę i delikatnie dotknął jej ręki dłonią, w której trzymał nóż.

- Przecież masz na imię Alyssa.

Cofnęła się.

- Niepokoi cię widok noża? - Odłożył go, uważnie patrząc jej w oczy. - Nie będę udawał, że jestem kimś innym niż jestem.

- Wcale o to nie proszę. Ale ja też nie mogę udawać, że mi to nie przeszkadza.

Kiwnął głową.

- Szczerłość to dobry punkt wyjścia.

Wezbrała w niej nadzieja i pragnienie. I strach.

- Niczego nie zaczynamy, Michael.

- Myślę, że już zaczęliśmy. Czy nikt nie nazywa cię Alyssą?

- Matka. - Uśmiechnęła się na to wspomnienie.

- A ojciec?

- Och, dla niego jestem AJ. Nie doczekał się synów, więc był zachwycony, kiedy się okazało, że ma córkę, którą może uczyć gry w baseball.

Na pewno oboje się o nią martwią. Czy ktoś ich powiadomił o próbie odbicia więźnia? Niespokojna, zerwała się na nogi.

- Muszę przynieść jeszcze wody.

- Alysson.

Spojrzała na niego przez ramię.

- Czy twój mąż też nazywał cię AJ.?

Ostrzegawczo zmarszczyła brwi.

- Tak.

Skinął głową i wrócił do pracy.

- Tak właśnie myślałem.

Była wcieleniem wdzięku i jasności. Michael obserwował ją, kiedy pomagała w przygotowaniu prostej kolacji. Wiedział, że Alyssę to krępuje. I chciał tego. Chciał - pragnął - żeby zdawała sobie sprawę z jego obecności.

Być może ona jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy,



lecz wszystko się zmieniło. Nie wiedział na razie, jak znaleźć drogę w tym nowym otoczeniu, lecz widział doskonale, dokąd zmierza.

Na kolację zgromadzili się wokół wielkiego stołu. Siostra Constancia odmówiła modlitwę. Dwie starsze dziewczynki podawały do stołu. Jedna z nich - Pilar - przyniosła miskę z fasolą do szczytu stołu, gdzie Michael siedział na honorowym miejscu, i podała mu z nieśmiałym uśmiechem. Podziękował z powagą, nałożył sobie i podał misę siedzącej obok Alyssie.

Spojrzała na niego. Jej uśmiech pojawił się i zniknął zbyt szybko.

Nie ufała mu. Wiedział o tym i nienawidził tego, ale to rozumiał. Nie miała powodu mu ufać. Uratowała mu życie, podczas gdy on naraził ją niemal na śmierć.

Nie powinien był pozwolić, by mu towarzyszyła dalej, po tym kiedy zobaczyli wieś. Gdyby stracił przytomność później, zginęliby oboje. Mimo to gotowa była z nim zostać. I mimo że stracił głowę z powodu gorączki, nie opuściła go. To zmieniło wszystko.

Poruszył się, "żeby ulżyć bolącej nodze. Musi szybko odzyskać siły. Nie może tu zostać wiele dłużej.

Prawdę mówiąc, już powinien był odejść.

Spojrzał na siedzącą obok kobietę. Nie powiedziała, że z nim pójdzie. Ale on nie miał zamiaru wyruszać bez niej.

- Senor West? - odezwał się po hiszpańsku cienki głosik z jego lewej strony. - Opowie mi pan jeszcze o telewizji i ruszających się obrazkach? I o elektryczności?

Uśmiechnął się do Manuela, który ciągle się dopytywał o cuda istniejące w mitycznej krainie - Stanach Zjednoczo-

nych. Michaelowi przemknęło przez myśl, że jeśli chłopcu uda się przeżyć, w przyszłości zostanie bogatym człowiekiem. Posiadanie pieniędzy ma swoje zalety, myślał, objaśniając sześciolatкови tajemnice prądu elektrycznego. Dzieciak tak bystry i dociekliwy jak Manuel zasługiwał na to, by otrzymać dostęp do wiedzy.

- Umiesz sobie radzić z dziećmi - zauważyła cicho Alyssa.

- Lubię maluchy. Ty też, z tego, co widziałem.

Kiwnęła głową, patrząc w talerz.

- To kolejna rzecz, którą odłożyłam na później. Posiadanie dziecka.

Ujął ją za rękę.

- Ciagle jeszcze możesz mieć dzieci.

Moje dzieci. Myśl wstrząsnęła nim w pierwszej chwili. Tak, pomyślał zaraz potem. Chciał ją zobaczyć w ciąży, noszącą jego potomka. Alyssa będzie jego. Tylko jeszcze o tym nie wie.

Po kolacji Michael uparł się, że wyszoruje garnek po fasoli, budząc zdumienie maluchów. Wyjaśnił im, że mężczyzna powinien zawsze wykonywać swoją część pracy, a ponieważ nie ma dość siły, żeby narąbać drewna, zajmie się zmywaniem.

Potem siostra Andrew opatrzyła mu ranę, dzieci odesłano do łóżek, a siostry wycofały się do własnego pokoju. Ogień przygasł; ich izdebka była ciemna i ciepła. Miał Alyssę tylko dla siebie.

Kobieta wychyliła się przez okno i przymknęła proste okiennice. Ktoś pożyczył jej koszulę nocną; ginęła niemal

wśród fałdów spranej bawełny. Zabrała się do rozkładania swojego posłania z koców.

Michael obserwował ją w półmroku, leżąc oparty na ręce.

- Zastanawiam się, co się stało z siostrą Marią Elena i twoimi ludźmi. Czy udało się im uciec.

- Założę się, że tak. To dobrzy żołnierze.

Jej posłanie było oddalone od jego o prawie pół metra.

- Wolałem, kiedy spałaś przytulona do mnie.

Odwrociła wzrok, nerwowo przesunęła dłońmi po kocu.

- Na szlaku to było konieczne. Teraz nie jest.

Zastanawiał się, czy puls bije jej równie szybko jak jemu. Łatwo było to sprawdzić. Wystarczyłoby wyciągnąć rękę i dotknąć gładkiej skóry jej szyi.

Westchnął. Gdyby to zrobił, Alysśa pewnie odskoczyłaby i przeniosła swoje koce na drugi koniec pokoju.

- Czy ty robisz tylko to, co konieczne, Alysso Jean?

- Och. - Roześmiała się, lecz głos jej drżał. - Moja matka nazywała mnie tak tylko wtedy, kiedy bardzo nabroiłam.

Uśmiechnął się do niej w półmroku.

- Co powiesz o tym, żebyśmy się jutro wybrali na piknik?

- Co takiego?

- No wiesz, mrówki i błoto. Jedzenie palcami.

- Mieliliśmy tego po dziurki w nosie. - W jej głosie brzmiało rozbawienie.

- Staram się być grzeczny, ale niedługo zwariuję z nudów. Myślałem, że mojej nodze przydałby się krótki spacer. A mnie trochę towarzystwa.

- Och... hm, czemu nie.

Wyczuwał jej podejrzliwość i uśmiechnął się w ciemności. Instynkt słusznie ją ostrzegał. Gdyby wiedziała, jak uza-

sadnione są jej podejrzenia, nigdy by się nie zgodziła na tę wyprawę.

Zabawne, pomyślał, przewracając się na plecy. Tydzień temu przysiągłby, że lubi kobiety. Był pewien, że przewyciężył niepewność, jaką budziły w nim w dzieciństwie. Teraz jednak, zaledwie parę dni temu, odkrył, co to znaczy być zależnym od kobiety - i nauczył się, co to znaczy jej zaufać. Całkowicie, lecz nie ślepo. W taki sam sposób ufał swoim żołnierzom i braciom. Znał ich dobrze; znał ich wady, lecz wiedział, że mimo to może na nich liczyć.

Nie miał pojęcia, że jest tak bardzo istotne, by ufać kobiecie w taki sam sposób. Aż do tej pory nie wierzył, by kobieta i mężczyzna mogli się przyjaźnić. Lecz Alyssa była jego przyjacielem. Przyjacielem, z którym miał ochotę się kochać. I to bardzo.

Czasu było niewiele, a stawka wysoka. Pierwszy raz, odkąd włożył mundur, Michael postawił coś ponad rozkazy. Postanowił zdobyć Alysę i ją zatrzymać. Nie bagatelizował jednak stojących przed nim trudności.

Pierwszą i największą był drogi nieobecny, Daniel Kelleher.

Lecz Dan nie żył - w przeciwieństwie do Michaela i Alyssy.

Była też tamta kobieta w Dallas, oczekująca, że Michael ją poślubi. Alyssa nigdy nie zgodziłaby się z nim zostać, gdyby wiedziała, że Michael ma zobowiązania wobec kogoś innego.

I chciała być kochana. Na tę myśl ogarnął go niepokój. Mógł jej ofiarować wiele, ale miłość? Zdrowe, silne uczucie, jakim darzył ją kiedyś mąż? Michael nigdy nie spotkał się

z taką miłością. Jak miał zbudować coś, co znał tylko z opowieści? Jedyna miłość, jaką znał, to był chory, niszczący związek dwojga ludzi, których potrzeby spletały się w węzeł tak ciasny, że dławiły oboje niemal na śmierć.

Usłyszał w pamięci wysoki, łamiący się głos matki... Przykro mi, Mikey. Próbowałam przestać go kochać, ale nic nie pomogło. Nic...

Tamtego dnia połknęła z miłości - czy tego, co nazywała miłością - całą fiolkę pigułek. A potem zadzwoniła do Michaela, żeby się z nim pożegnać.

Miał wtedy czternaście lat. Ojciec wyjechał służbowo, Jacob studiował w college'u, lecz Luke był w domu. Dowieźił Michaela do matki na czas, choć przez ostatnich kilka kwartałów ściagały ich syreny policyjnego wozu - nic dziwnego, biorąc pod uwagę ich prędkość i przejechane na czerwonym świetle skrzyżowanie.

- Zresztą policjant się przydał: zadzwonił po karetkę.

Zrobili matce płukanie żołądka, a potem zamknęli na rok w cichym szpitalu pod Houston. Ojciec za wszystko zapłacił bez słowa skargi. Pod pewnymi względami był godnym szacunku człowiekiem - okropny jako mąż, lecz wierny jako przyjaciel.

Psychiatra tłumaczył Michałowi, że matka zadzwoniła do niego, bo podświadomie nie chciała umierać. Chciała, żeby to on się nią zaopiekował, bo go kochała i żyła tylko dla niego.

Może i tak było. Czasem jednak, kiedy miał kilkanaście lat, nienawidził jej. Teraz zwykle budziła w nim znużenie i smutek.

Zamknął oczy i odsunął od siebie przeszłość - sztuczka,

którą opanował do perfekcji. To terażniejszość i przyszłość się liczyły.

Chciał spędzić tę przyszłość z Alyssą. Przyjaźń - to mógł jej ofiarować. Umiał być przyjacielem. I jeszcze seks. No tak, pomyślał, poprawiając się niespokojnie na pościeli. Z tym też nie będzie problemów.

Przy odrobinie szczęścia Alyssa nigdy się nie dowie o jego narzeczonej. Cami chciała jedynie pieniędzy na podstawie umowy przedślubnej, którą zawarli. Gdy je dostanie, zniknie z jego życia.

Alyssa go pragnie. Nie podoba się jej to, nie zamierza działać pod wpływem pożądania, lecz ono wibruje pod powierzchnią każdego jej słowa, każdego gestu. Zamierzał to wykorzystać.

Dla kobiety takiej jak ona seks i małżeństwo są nie do oddzielenia.

Michael nie miał czasu przekonywać, by mu zaufała. Musiał działać szybko i bezwzględnie, jeśli chciał ją zdobyć.

Musiał użyć wszelkich dostępnych środków. Więc wykorzysta seks, żeby przełamać jej opory. A potem ją przekona, żeby za niego wyszła.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Czas w wiosce płynął inaczej niż w świecie cywilizowanym: wolniej i spokojniej. Mimo to AJ. była wstrząśnięta, kiedy się zorientowała, że do świąt zostało tylko dwanaście dni.

Dwanaście dni do świąt, a ona idzie przez tropikalną dżunglę na piknik z mężczyzną, którego kocha, lecz z którym nie może być. Poprawiła worek z owocami, kozim serem i razowym chlebem.

- Strasznie jesteś dzisiaj milcząca.

Spojrzała na Michaela. Po wyjściu ze wsi przez parę minut wędrowali z biegiem rzeki, potem skręcili w ścieżkę wyciętą w bujnym, splątanym poszyciu.

- Myślałam o śniegu i kupowaniu prezentów.

- Co byś teraz robiła, gdybyś była w domu?

- Zwykle nie jeżdżę na święta do domu, to znaczy do rodziców.

- Pewnie masz dużo obowiązków o tej porze roku?

- Mnóstwo. Nie chodzi tylko o odprowadzanie nabożeństw, ale muszę się też zająć ludźmi, którzy czują się przybici albo osamotnieni.

Przez ostatnie dwa lata starała się to robić, walcząc z własnym przygnębieniem i samotnością.

- Rodzice czasem przyjeżdżają do mnie.

Lecz teraz była tutaj, wędrowała obok mężczyzny, o którym myśl budziła w niej pragnienie i pożądanie. Tęsknota i strach walczyły w niej o lepsze. Co ona robi? Jak mogła się znowu zakochać? To zbyt nagle.

- A ty jak spędzasz święta? - spytała szybko.

- Zwyczajnie. Spotykam się z braćmi, oglądam prezenty, objadam się. - Uśmiechnął się. - Ada napycha nas tak, że ledwie się możemy ruszyć, a potem się czepia, jeśli przy sprzątanu zostawimy choćby jedną plamkę.

- Ada?

- Była gospodynią ojca.

- Gospodynią? Mówisz o niej jak o kimś ważnym. Sądziłam, że jest twoją dziewczyną albo krewną.

Spojrzał na nią chłodno.

- Bo jest ważna. I jest też gospodynią.

- Nie chciałam cię urazić. Moja ciotka Margaret była gospodynią przez trzydzieści lat, ale nie słyszałam, żeby ktoś za nią sprzątał, nawet od święta.

Michael zachichotał.

- Prawdę mówiąc, Ada nie daje nam wielkiego wyboru. Hej, zdaje się, że jesteśmy na miejscu.

AJ. wyszła za nim na niewielką polankę. Ze wszystkich stron otaczała ich zielona ściana lasu. Obok przepływał niewielki, malowniczy strumyczek, jakby umieszczony tu dla ozdoby, a ziemię porastała rzadka w tych okolicach trawa. I kwiaty - drobne i niebiesko-białe kryły się wśród trawy, na gałęzi drzewa przycupnęły ozdobne orchidee. Trzydziestocentymetrowa zielona jaszczurka przyglądała się im chwilę nieruchomo, po czym śmignęła między gałęzie.

Ciepłe plamki słońca tańczyły wokół.



Michael rozłożył koc. Położyli się na nim, wyjęli jedzenie i zaczęli rozmawiać o wszystkim i niczym - wszystkim z wyjątkiem wojny i pożądanego, i czekających ich wyborów. On słuchał rocka, ona wolała country western. Oboje lubili szybkie wozy - uniósł ze zdumieniem brew i spytał, czy Alyssa ma też inne słabości. Ze śmiechem wyznała, że uwielbia tańczyć.

Oparła się na łokciach i odchyliła głowę.

- Jak dobrze zobaczyć wreszcie niebo - powiedziała.

- Przywykłaś do otwartej przestrzeni w Andrews. Ale przecież w San Antonio nie brakuje zieleni.

- Byłeś tam?

Skinął głową.

- Odwiedzałem Stephanie, zanim wyszła za jakiegoś polityka i przeniosła się do Tennessee.

- Kim jest Stephanie? Dawną miłością?

- Niezupełnie. To matka Luke'a. To ona wyszła za tatę dwa razy, nieszczęsna kobieta. W sumie przeżyła dziewięć lat jako pani West. To rekord.

- Każdy z was miał inną matkę?

- Tak. Chyba sobie wyobrażasz, co to znaczy. - Podał jej przekrojoną guajawę i sięgnął do worka po następny owoc.  
- Ale trzymaliśmy się razem. No i mieliśmy Adę.

Trzasnęła jakaś gałązka.

Michael poruszył się tak szybko, że ledwie zarejestrowała ruch. Przyczajony wpatrywał się w gąszcz z pistoletem w dłoni.

Usłyszeli chrząkanie i szelest tratowanych liści. AJ. odechnęła.

- Pekari - szepnęła.....

Mężczyzna nie zmienił pozycji.

- Coś je musiało spłoszyć - mruknął.

- Jaguary nie polują w dzień.

- Ale ludzie tak.

- Daj spokój, Michael. Jaka jest szansa, że dotrze tu jakiś bandyta albo dezerterski?

- Niewielka. Ale to możliwe.

Jeszcze przez chwilę czujnie obserwował otoczenie, po czym odłożył broń.

- Zepsułem nastrój, co?

Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić.

- Nigdy się nie odprężasz do końca, prawda?

- Nie podczas misji.

Ach tak, zapomniała. Ile to dni? Dziewięć? Wydawało się niemożliwe, że tak mało.

Z pewnością nie mogła się zakochać w ciągu dziewięciu dni. To musi być przelotne zauroczenie.

- Słuchaj - zaczął, siadając obok. - Myślę, że powinniśmy o tym pogadać.

- To znaczy o czym? - spytała zdezorientowana.

- O twoim stosunku do broni, do mojego zachowania. O mnie jako żołnierzu.

- Nie widzę potrzeby - odparła sztywno.

- Pewnie, bo nie widziałas wyrazu swojej twarzy, kiedy wyciągam splotę.

Zagryzła wargę zmieszana.

- Przepraszam. Nie chciałam... Nie przywykłam do broni. Do tego wszystkiego.

- Myślę, że chodzi o coś więcej. Widziałas, jak zastrzelono twojego męża. Zdaje się, że został ci po tym spory uraz na punkcie broni. I ludzi, którzy ją noszą.

- Nie, wcale tak nie myślę o tobie. Naprawdę.  
Chcąc go przekonać, popełniła wielki błąd. Dotknęła go.  
Serce zaczęło jej bić - mocno i wolno.

Wiedział. On też to czuł, bo oczy mu pociemniały, głos zabrzmiał niżej.

- Co o mnie myślisz, Alysso? - Przykrył jej dłoń swoją.  
- Czy chcesz mnie tak bardzo jak ja ciebie?

Zaschło jej w ustach.

- To się dzieje dla mnie za szybko. O wiele za szybko.

- Może i szybko, ale nie nagle.

Uniósł jej rękę do ust i pocałował wewnątrz dłoni.

- Nie możemy. Nie powinniśmy. - Była bliska paniki, a jednak nie znalazła dość siły, żeby wyrwać rękę spod dotyku jego warg. - To nas zaprowadzi donikąd.

Próbowała przywołać na pomoc rozsądek, wszystkie te powody, które wydawały się tak ważne, kiedy jej nie dotykał. Sprawiał, że czuła się znowu żywa. Że czuła zbyt wiele.

- Nie wierzę w skoki w bok.

- Wiem. - Uwolnił jej rękę tylko po to, by przesunąć dłonią przez włosy. - A co z pocałunkami, Alysso? Wierzysz w pocałunki?

Tak. Serce biło jej z przerażenia i tęsknoty. I nadal się nie poruszyła, nie cofnęła.

Uśmiech Michaela znikł. Z całkowitą powagą, jak gdyby ten akt wymagał najwyższej koncentracji, ujął jej twarz obie-  
ma rękami i pocałował.

Usta, które widziała skrzywione cierpieniem, zacięte z de-  
terminacji, ironicznie ściągnięte, delikatnie dotykały teraz jej  
warg. Zdumiewająco delikatnie.

Przez chwilę - tylko jedną chwilę - pozwoliła sobie rozkoszować się tą niespodzianką, ciepłym dotykiem jego ciała.

Zapomniała już, jak intymnym przeżyciem może być pocałunek. Jak bardzo może zbliżyć, zjednoczyć dwoje ludzi. O tak, potrzebowała tego, potrzebowała Michaela. Błądziła dłońmi po jego ciele, dotykając miejsc, których jeszcze nie знаła - gładkiej skóry policzków, pulsu bijącego na szyi, silnych mięśni ramion, kiedy ją zamykał w objęciach.

Opuścił ją na koc, trzymając blisko siebie, przylegając do niej całym ciałem. Całując ją, zaczął pieścić jej piersi. Mruknięła cicho z rozkoszy i przyzwolenia.

Gdzieś na dnie jej umysłu jakiś głos wykrzykiwał ostrzeżenia. Istniał jakiś powód, bardzo ważny powód, dla którego nie powinna tego robić... lecz przecież marzyła o tym od tylu nocy. A to było lepsze niż wszystkie sny na jawie, lepsze niż wszystko, co czuła lub sobie wyobrażała, odkąd...

Odkąd zginął Dan.

Ta myśl sprawiła, że Alyssa zeszywniała nagle i jęknęła. Próbowwała odsunąć mężczyznę.

- Ciiicho - mruknął, delikatnie pieszcząc jej pierś, jej szyję. - Wszystko w porządku. On by nie chciał, żebyś go opłakiwała do końca życia.

Cokolwiek czuła, nie było to poczucie winy.

- Michael - szepnęła zmieszana. - Nie jestem na to gotowa.

- A kto jest?

W jego głosie brzmiała ironia, lecz w oczach malowała się potrzeba tak przemożna i żywa, że wzruszona pogładziła go po policzku.

Silnie, gwałtownie przycisnął usta do jej warg. Odwza-

jemniła pocałunek z poczuciem, że coś traci. Ale i coś zyskuje. Odprężyła się.

To był sygnał, którego potrzebował. Jego usta powędrowały ku jej szyi, piersiom. Przeczesała palcami jego włosy. Jej oddech przyśpieszył, kiedy mężczyzna wsunął dłoń w rozpięcie koszuli i zaczął gładzić jej pierś. Chciała więcej - krew szaleńczo pulsowała jej w żyłach. Rozpięła jego kamizelkę i zaczęła gładzić mięśnie przeżące się pod jej dotykiem. Oderwała usta od jego ust.

- Ciagle nosisz tę przeklętą kamizelę - mruknęła z wymówką - a masz taki płaski, seksowny brzuch. Wiesz, ile razy marzyłam, żeby to zrobić? - dodała, wyciskając na nim pocałunek.

Jęknął z dłońmi w jej włosach.

- Jeśli myślałaś o tym tak często jak ja... Teraz moja kolej. Pozwól mi pokazać, o czym ja marzyłem.

- Najpierw ubrania - odparła, zsuwając mu z ramion kamizelę.

Jej bluzka, jego kamizelka, jej biustonosz. Jej buty, jego buty - och, co za idiotyczna przerwa w samym środku ożywionej akcji. Powinna była wtedy odzyskać rozsądek. Znów jednak popełniła błąd: spojrzała na niego i zapomniała o butach, wątpliwościach - o wszystkim.

Wyglądał wspaniale. Na szlaku podziwiała jego miękkie ruchy, pięknie rzeźbione mięśnie. Teraz jednak po raz pierwszy widziała go w całej okazałości.

Nie pozwolił jej się długo przyglądać. Ukłękł nad nią, a potem pocałował jej stopę. Sapnęła, czując dotyk jego języka na delikatnej skórze podbicia.

Uśmiechnął się z satysfakcją. Przyłgął do jej skóry, śli-

skiej od potu i rozgrzanej. Czuła nacisk jego ciała, dotyk jego skóry łagodził ból napiętych piersi.

Potrzebował więcej czasu, by ją pieścić. Na koniec uniósł się nad nią, wsparty na jednej ręce. Objęła go nogami, spragniona, zapraszająca.

W ostatniej chwili zatrzymał się na chwilę.

- Wyjdź za mnie - szepnął.

A potem wolno się w nią wsunął.

Otworzyła szeroko oczy. On tego nie powiedział. To niemożliwe.

- Co takiego? - szepnęła, wbijając mu palce w ramiona.

- Michael, co ty powiedziałeś?

- *Querida* - mruknął, nachylił się, by ją pocałować, i wolno zaczął się poruszać. - Piękna Alyssa. Mądra, silna A.J. Wyjdź za mnie.

Pokręciła głową, nie mogąc uwierzyć własnym uszom.

A potem ogarnął ją płomień, ruchy obojga stały się szybsze, bardziej natarczywe. Krzyknęła, gdy cały świat skurczył się w ognisko rozkoszy.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Michael leżał na boku, otaczając ją rękami, z jej głową na ramieniu.

Wszystko poszło nie tak. Och, nie chodziło o seks. Ten był fantastyczny.

Zaskoczyła go. Nie oczekiwał nieśmiałości, ale..>

Objął ją mocniej. Była stworzona dla niego. Lecz czeka go ciężka przeprawa, nim ją przekona, że on też jest stworzony dla niej. Szczególnie po tym, co zrobił.

Nie tak zamierzał się jej oświadczyć. Chciał ją poprosić później, kiedy oboje nieco ochłoną. Zamiast tego wy chlapał wszystko na początku. I zobaczył bezbrzeżne zdumienie w jej oczach.

A tak się starał. Ze wszystkich sił starał się pohamować, zebrać słowa. Kobiety potrzebują słów, a Alyssa z pewnością oczekiwała długich namów, przekonywania.

Nic nie powiedziała. Nie odezwała się, odkąd poprosił, żeby za niego wyszła.

Nie wiedział, jak ją przekonać, więc tylko pocałował jej włosy. Poruszyła się, obróciła w jego objęciach. Pogładziła go po policzku, po ustach. Patrzyła spokojnie.

- Michael - powiedziała ze smutkiem. - Nie mogę za ciebie wyjść.

Zabolało. Wiedział, jaka będzie odpowiedź, a mimo to

sparzyła go jak ogień. I ten spokój malujący się na jej twarzy: jakby żałowała, lecz nie miała wątpliwości.

- To mi nie wystarczy. Podaj jakiś powód.
- Nie jestem gotowa.

Wysunęła się z jego ramion i zaczęła ubierać. Ręce jej drżały. Niech to diabli.

- I to wszystko? Tylko tyle masz mi do powiedzenia? Że nie jesteś gotowa? Chcę wiedzieć, czemu mnie odrzucasz.

- Nie krzycz na mnie.

Świetny ruch, West. Nawrzeszcz na nią, to na pewno się zgodzi. Spuścił głowę i stał w milczeniu przez chwilę, starając się opanować. Na koniec odetchnął głęboko, odwrócił się i również włożył ubranie.

Kiedy skończył, spojrzał na nią znowu. Zapinała bluzkę. Podeszedł do niej; gdy podniosła wzrok, zauważył, że Alyssa ma oczy pełne łez.

- Niech to diabli.

Westchnął i przytulił ją do siebie.

- To ja powinienem płakać.

Pociągnęła nosem.

- Fakt. Kiedy płakaliście ostatnio, żołnierzu?
  - Możliwe, że trochę wyszedłem z wprawy - przyznał.
- Masz rację. Strasznie bym chciał, żebyś zmieniła zdanie. Ale mam też prawo wiedzieć, dlaczego zrobiłaś przed chwilą to, co zrobiłaś, skoro mnie nie chcesz.

- Nie wiem! - Wyrwała mu się gwałtownie. - Mam całe mnóstwo powodów. Solidnych, ważnych powodów. Tylko że jest ich zbyt wiele i nie mają sensu. Nic nie ma sensu. Jesteś dobrym człowiekiem, Michael. Jednym z najlepszych, jakich



znam. I pragnę cię. Zresztą chyba to udowodniłam. Ale to się wszystko dzieje za szybko. Nie mogę sobie wyobrazić...

Westchnęła i zaczęła rozczesywać włosy grzebieniem, który jej podał.

- Nie mogę sobie wyobrazić ciebie, jak bierzesz udział w dziewięćdziesięciu dziewięciu parafialnych obiadkach na rok. Albo jak mieszkasz w uroczej ceglanej plebanii przy kościele. Nie wiem, na ile to, co jest między nami, to efekt wszystkiego, co przeszliśmy razem... Michael? Co to było?

Zamarł bez ruchu, nasłuchując. Usłyszeli to znowu: cichy, wibrujący ptasi tryl.

- A niech to - mruknął i uśmiechnął się szeroko.

Przyłożył dłonie do ust i odpowiedział podobnym dźwiękiem. Dwóch mężczyzn w mundurach, z karabinami wystającymi znad ramienia, wysunęło się zza krzewów.

- Cholernie trudno było pana znaleźć, poruczniku - odezwał się wyższy. Kiwnął głową Alyssie. - Miło panią widzieć w dobrym zdrowiu.

- Rany, Mick! - Drugi z żołnierzy, rudzielec, pokręcił ponuro głową. - Myślałem, że uratujemy cię z niebezpieczeństwa, a zdaje się, że przeszkodziliśmy ci w czymś zupełnie innym. Przepraszamy.

- Scopes - odparł Michael. - Zamknij się.

Mogło być gorzej, powtarzała sobie AJ. Ludzie Michaela mogli ich zaskoczyć w znacznie gorszym momencie.

Mimo to sytuacja była ogromnie krępująca. Michael wziął ją za rękę, kiedy ją przedstawiał swoim żołnierzom, a ona udawała, że nie ma pojęcia, o czym tamci myślą. Widać było, że wszyscy trzej znają się i lubią. Natychmiast zagłębili się

w ożywionej rozmowie. Michael cały czas trzymał jej dłoń. Ruszyli w drogę powrotną: wysoki Banner na czele, potem ich dwoje i na końcu bezczelny Scopes.

Jak się wydawało, żołnierze przez cały czas szukali go, obawiając się o jego los, gdyby wpadł w łapy El Jefe.

- Włączymy się po tej przeklętej dżungli tak długo, że palce u nóg porosły mi mchem - skarżył się Scopes. - Znalazłbym was dużo szybciej, gdyby mi dali jakiegoś normalnego pilota.

Banner prychnął.

- Albo gdybyś potrafił czytać mapę.

AJ. wtrąciła się do rozmowy.

- Przepraszam, ale tak się martwię o siostrę Marię Elenę. Tę zakonnicę, która była ze mną. Czy wszystko z nią dobrze?

Banner spojrzał na nią przez ramię. Był wysokim, smukłym mężczyzną o wielkich dłoniach koszykarza i głębokim głosie, który wprawiłby w ekstazę każdego dyrygenta chóru. Oczy miał brązowe, dokładnie w tym samym odcieniu co jego skóra.

- W porządku, proszę pani. Zabrali ją do szpitala wojskowego, ale szybko wydobrzała. Zdaje się, że pojechała do jakiegoś klasztoru w Gwatemali.

Scopes zachichotał.

- Boise się wścieknie. Założył się ze mną, że znajdzie was pierwszy.

- Miał trudniejszy teren do przeszukania - zauważył Banner. - W okolicach Santo Pedro było wiele walk.

- Jak wygląda sytuacja? - spytał Michael. - Rządowi udało się odzyskać kontrolę nad drogą na północ?

- Lepiej. - W głosie Scopesa brzmiała radość. - El Jefe

dostał porządnie w tyłek. Jego tak zwana armia została rozbita na drobne kawałeczki.

AJ. słuchała jednym uchem. Żołnierze domyślili się, że Michael będzie zmierzał w stronę granicy, i podzieleni na pary rozpoczęli poszukiwania.

Czuła ogromną wdzięczność. Naprawdę. Chciałaby tylko... Westchnęła. Lista jej pragnień była absurdalnie długa i pełna sprzeczności.

Kochała się z nim. Jak mogła do tego dopuścić po wszystkich zapewnieniach, że mu nie ulegnie?

Kogo próbowała oszukać? Wiedziała doskonale, czemu to zrobiła. Kochała Michaela i pragnęła go, tak po prostu.

Był dobrym, niezwykłym człowiekiem. I zraniła go, wiedziała o tym doskonale. Chociaż nie powiedział ani słowa o miłości. Serce zabolowało ją tak mocno, że aż zagryzła wargi. Bądź uczciwa, powiedziała sobie. Nie zachęcałaś go szczególnie, żeby o niej mówił.

Niedługo wrócą każde do swojego życia. Czy go jeszcze spotka?

Czy chciałaby go spotkać? Tak.

Nie.

Świetnie: kocha go, ale nie jest nawet pewna, czy chciałaby go jeszcze zobaczyć.

To z powodu tego, czym Michael się zajmuje, pomyślała. Być może zabija jedynie w słusznej sprawie, ale i tak jest zabójcą. To ją odstręczało. Nie, nie odstręczało... niepokoiło? Martwiło? Och, nie potrafiła tego nazwać. Potrzebowała czasu do namysłu. Kiedy ją odwiedzi w San Antonio... tylko czy to zrobi? Właśnie nie zgodziła się za niego wyjść.

Do diabła, naciskał na nią. Związek wymaga czasu. Nie

mogła tak po prostu wskoczyć w małżeństwo, jak wskakuje się do basenu. Dana знаła prawie rok, zanim pierwszy raz wyszli razem do miasta, a oświadczył się jej po pół roku spotkań.

Dan - przeszło ją nagłe poczucie winy, żalu, dziwnej paniki. Miała wrażenie, jakby coś utraciła, jakiś ważny fragment samej siebie. To nie miało sensu. Straciła Dana ponad dwa lata temu, więc co...

- Czemu masz taką smutną minę? Wracamy do domu.

Michael pogładził kciukiem wewnątrz jej dłoni. Ten zwyczajny, drobny gest wystarczył, by zapragnęła go znowu. Spuściła oczy, chcąc ukryć swoje myśli.

- A potem?

- To znaczy, co będzie z nami?

Ujął jej twarz w obie ręce, krzywiąc się w tym swoim szelmowskim uśmiechu.

- No cóż, pewnie oświadczę ci się znowu.

Serce podskoczyło jej z radości - i znowu poczuła panikę.

- Zanim posuniemy się dalej, muszę coś wiedzieć.

Położył jej ręce na ramionach.

- W porządku. Strzelaj.

- Co... - Nie mogła tego powiedzieć. Nie mogła tak po prostu spytać, co Michael do niej czuje. - Czemu chcesz się ze mną ożenić?

- Nareszcie. Miałem gotową całą przemowę, tylko wszystko wyleciało mi z głowy, kiedy mnie uwiodłaś.

- Ja? - chciała, by w jej głosie brzmiało oburzenie, ale uśmiechnęła się mimo woli. - Ja nie...

- Hej, Mick... - Scopes szedł w ich stronę z poważnym wyrazem twarzy. - Mam wieści od Boise'a. Śledził oddział

ludzi El Jefe. Zdaje się, że zacierają w tę stronę. Splądrowali wioskę dwadzieścia kilometrów stąd, ale niewiele tam znaleźli, więc są w nie najlepszych humorach. Więc jeśli ludzie z tej waszej osady mają się gdzie ukryć, lepiej żeby to zrobili. I to szybko.

Wybory i nieprzewidziane zdarzenia. Życie jest ich pełne, rozmyślał Michael, wychodząc z chaty *tepeca*. Ale często można jedynie dokonać wyboru między złym i gorszym. A szczęśliwe przypadki przeważnie zdarzają się zbyt rzadko.

Wyglądało na to, że jego nadzieje na zdobycie Alyssy właśnie rozwiały się ostatecznie.

Wokół panował rozgardiasz: kobiety wydawały polecenia dzieciom, dzieci wyganiały inwentarz do dżungli.

Wyjaśnił, jaka jest sytuacja, seniorowi Pasquezowi i starszyźnie wioskowej. Postanowili opuścić osadę i udać się na plantacje, gdzie pracowała część mężczyzn. Należały one do zagranicznych firm, więc rząd był skłonny wysłać tam wojska, gdyby zaczęły się niepokoje. San Christóbal nie mogło sobie pozwolić na utratę zagranicznych inwestorów.

Plantacje leżały jednak w odległości dwóch dni marszu, a istniała spora szansa, że dezercerzy udadzą się w tym samym kierunku: było to jedyne miejsce w okolicy warte splądrowania.

Michael wypatrył w zamieszaniu Sópesa.

- Masz wszystko, co trzeba?

Żołnierz kiwnął głową.

- Nadal jesteś zdecydowany odesłać helikopter do bazy?  
- spytał.

- Tak. - Z wielu powodów, w większości taktycznych,

jednego osobistego. Michael stłumił w sobie poczucie winy.

- Spotkamy się za kwadrans na szlaku.

Scopes rozejrzył się wokół.

- Myślisz, że zdążą?

- Muszą. Dezerterzy są o dwie godziny marszu od wioski.

Helikopter czekał na placu na przeciwnym końcu osady. Michael ruszył truchtem. Czasu było mało, ale nie zamierzał się rozstać z Alyssą bez pożegnania.

Miała odlecieć z Bannerem. Michael i Scopes zostawali z wieśniakami, żeby ich bronić - dwóch żołnierzy przeciw czterdziestu pięciu buntownikom.

Wybory i szanse, pomyślał znowu. Przynajmniej ona będzie bezpieczna. Świadomość tego pozwalała łatwiej znieść wszystko.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Co to za bzdury, że nie polecisz z Bannerem?

Michael stał z rękami na biodrach w drzwiach sali dla dziewcząt.

- Więc dostałeś moją wiadomość. A teraz nie przeszkadzaj albo pomóż w pakowaniu.

- Alysso, Banner czeka na ciebie przy śmigłowcu. Nie ma czasu na dyskusje.

- Jestem gotowa. - Miała nadzieję, że to prawda. - Ale nie polecę z Bannerem. Idę z siostrą Andrew, siostrą Constanca i dziećmi. Potrzebują mojej pomocy.

- Akurat.

Uśmiechnęła się z rozbawieniem.

- Widać nigdy nie podróżowałaś z maluchami. Jest ich trzynaścioro. Siostra Constanca ma pięćdziesiąt siedem lat, a siostra Andrew jeszcze więcej. Nie dadzą sobie rady beze mnie.

- Cholera! Nie możesz...

- Ciszey, wystraszysz dzieci. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Robisz to, co uważasz za konieczne. Ja też.

Michael zaklął cicho. Pocałował ją mocno. Oczy miał ciemne.

- Zostaw resztę rzeczy. Ruszamy w tej chwili.

Dwie godziny i pięć minut po tym, gdy otrzymał wiadomość o deztererach od Scopesa, Michael wyprowadził barwną gromadę na szlak. Sprawiali się doskonale, biorąc pod uwagę, że trzydziestu paru dorosłym towarzyszyło trzy razy więcej mniejszych i większych dzieci.

Manuelowi prawie się udało zostać we wsi. Był bardzo rozczarowany, kiedy AJ. wypatrzyła go na drzewie na skraju osady.

Michael uśmiechnął się na to wspomnienie, zaraz jednak spowaźniał. Wieśniacy poruszali się szybciej, niż można by sądzić, lecz mimo to deztererzy zdołaliby ich bez trudu dogonić. Trzeba im jakoś przeszkodzić.

Kwadrans po tym, gdy ostatni zbiegowie zniknęli za zakrętem, podniósł się ze swojego miejsca i podszedł do Scopesa.

- I jak?

- Gotowe - odparł mężczyzna. - Nie miałem czasu porządnie jej zakopać, ale i tak starczy, żeby zasypać ścieżkę.

Przy odrobinie szczęścia ludzie El Jefe nigdy się nie dowiedzą, jak wiele trudu zadano sobie z ich powodu. Najkrótsza droga do granicy biegła po przeciwnej stronie wioski.

Michael wierzył w szczęście. Starał się je przyciągnąć. I nie dowierzał mu.

Minutę później zapalili lont i ruszyli krętą ścieżką za pozostałymi.

- Widzę, że interesujesz się wielebną. Zastanawiam się, czy to coś poważniejszego...

- Chciałbyś też spróbować szczęścia?

- Nie, nic podobnego. Tylko nigdy wcześniej nie widziałem, żebyś się oglądał za jakąś babką.



- Chcę się z nią ożenić.

Scopes zaskoczony milczał przez kilka minut.

- Ustaliliście już datę?

- Dała mi kosza.

- Cholera.

- Noo. - Michael zatrzymał się i spojrzał za siebie.

- Czy ładunek nie powinien już wybuchnąć?

Scopes wyszczerzył zęby.

- Nie znasz mnie? Patrz: pięć, cztery, trzy...

Ziemia zatrzęsa się. Po drugiej strome góry w powietrze wzbija się chmura ziemi.

- Nie, *ninita*, to nie diabły. - AJ. pochyliła się nad zapłakaną dziewczynką. - Pamiętasz? Sefior West mówił, że zrobi wielkie bum.

Mała pokiwała głową.

Inne dzieci skupiły się ciasno wokół AJ. i siostry Andrew. Tylko Manuel był niepokieszony.

- Szkoda, że nie mogłem popatrzeć z bliska.

Kolumna posuwała się wolno naprzód. Mieli tylko dwa osły wiozące chorych - reszta musiała wędrować na własnych nogach.

Z lewej strony szlaku ciągnęła się nieprzebyta ściana roślinności, po prawej widniało nagie, skaliste zbocze. Myśli kotłowały się w głowie AJ. Chwilami marzyła, żeby się zatrzymać i poczekać na Michaela, bo tęskniła już do jego widoku. Chwilami pragnęła się przed nim ukryć.

Najbardziej, pomyślała cierpko, chciałabym wreszcie przestać się szarpać z myślami.

Siostra Andrew musiała zauważyć; jej niepokój.

- Nie ma sensu się śpieszyć - zauważyła życzliwie.
  - Mój umysł o tym wie, ale nogi pędzą przed siebie.
  - Boisz się żołnierzy?
  - A siostra nie?
  - Będzie czas się bać, jak ich zobaczą przed sobą. Nie ma sensu zamartwiać się różnymi rzeczami, zanim się zdarzą.
  - Pewnie tak, ale nie potrafię przestać o nich myśleć.
- Zakonnica przyjrzała się jej uważnie.

- Chodzi ci o żołnierzy?

- Niezupełnie.

AJ. zawahała się. Potrzebowała rady, ale nie wiedziała, jak zacząć.

- Siostra wie, że Michael nie jest naprawdę moim *noviol*  
Starsza kobieta zaśmiała się.

- Jeśli jest coś, co potrafi przegnać z umysłu kobiety myśli o gromadzie niebezpiecznych mężczyzn, to jest to jeden konkretny mężczyzna. Tak, domyśliłam się tego. Ale widzę też, że nie jest ci obojętny.

- Kocham go. - Wypowiedzenie tych słów na głos przyniosło jej ulgę. - Ale...

- Dlaczego zawsze znajdujemy jakieś „ale”? - Siostra pokręciła głową. - Nieważne. Mów dalej.

- Sama nie wiem. Jest jakieś wielkie „ale”; wisi nade mną jak czarna chmura, tylko nie wiem, co to jest. Myślę, że to jego brutalność mnie niepokoi.

- Jego co? - Siostra przewróciła oczami jak nastolatka.

- Och, spodziewałam się po tobie czegoś więcej. Przepraszam, starzy ludzie mają dziwaczne oczekiwania.

- Widziałam, jak zabił człowieka. Nie mogę się uwolnić od tego obrazu.

- Hm.

Szły przez minutę, nim siostra podjęła rozmowę.

- Zwykle mam do czynienia z dziećmi, więc wybac, jeśli moja rada będzie przypominała dziecinną zabawę. Wyobraź sobie, że trzymasz w ręku karabin i widzisz, jak ktoś próbuje mnie zabić. Co byś zrobiła?

AJ. przełknęła ślinę. Zabawa wcale nie wydawała się dziecinna.

- Strzeliłabym.

- Zrobiłabyś to, żeby mnie bronić. A gdybym ja już nie żyła? Gdybym leżała martwa u twoich stóp, a on stał przed tobą bezbronny? Co byś zrobiła?

- Ja... - AJ. zaczerpnęła powietrza. Nie mogła opanować dreszczu.

Wystrzał. Krew. Krew Dana - wszędzie, na jej ubraniu, na ścianach, na podłodze. I gniew. Ślepy, bezgraniczny gniew.

- O Boże. O Boże.

Nie mogła mówić dalej. To było takie oczywiste. To nie brutalność Michaela ją odstręczała. Przerażała ją jej własna reakcja, lęk, że sama byłaby zdolna do znacznie gorszych rzeczy. Że potrafiłaby zabić - nie w obronie własnej, lecz ze ślepej chęci odwetu.

Nie chciała zobaczyć własnej podłogi, nie chciała doświadczyć znowu rozpaczliwej nienawiści, która wybuchła w niej, gdy zginął Dan.

Odetchnęła głęboko. Stawienie czoła temu, przed czym uciekała tak długo, dodało jej sił.

Zakonnica spojrzała za siebie i uśmiechnęła się.

- Idzie twój młody człowiek.

I tak było rzeczywiście. Michael i sierżant wyszli zza zakrętu i szybko zbliżali się do gromady.

Zmarszczył brwi na jej widok.

- Co się stało? - spytał zaniepokojony.
- Nic - odparła spokojnie, wycierając z twarzy ślady łez.
- Słyszeliśmy wybuch. Wszystko poszło dobrze?
- Porucznik nie pozwolił zaczekać - burknął ze smutkiem Scopes.

Michael nie rozchmurzył się.

- Ruszajcie w drogę. Alyssa i ja zaraz was dogonimy.
- A teraz powiedz mi, co się stało - odezwał się, kiedy reszta posłusznie wykonała rozkaz.

- Nic mi nie jest. Naprawdę. - Uśmiechnęła się. - Po prostu z pomocą siostry Andrew uświadomiłam sobie parę rzeczy.

To nie była właściwa pora, by o tym mówić. Musiała pomyśleć; zrozumieć w pełni to, czego się dowiedziała. A Michael miał teraz inne sprawy na głowie. Mimo to...

- Cieszę się, że cię widzę - powiedziała i impulsywnie pocałowała go w usta.

Zaskoczyło go to - lecz nie powstrzymało przed tym, by ją objąć i odwzajemnić pocałunek.

- Ja też się cieszę, że cię widzę. - Musnął lekko jej wargi jeszcze raz, po czym ujął ją za rękę. - Pora na nas. Jestem na służbie. Lepiej dokończmy pozostałych.

- Dobry pomysł. Nie wiadomo, co wymyślił Manuel pod naszą nieobecność.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Przez kilka godzin Michael kursował wzdłuż rozciągniętej kolumny niczym pies pasterski. I walczył z pragnieniem, żeby porwać Alysę w ramiona i kochać się z nią, nie bacząc na nic.

Rozmiary jego pożądania - i frustracji - poważnie go zaniepokoiły. Fakt, niebezpieczeństwo jest afrodyzjakiem, ale na razie nic im nie groziło.

Coś się zmieniło.

Nie potrafił określić co, ale wiedział, że się nie myli. Dostrzegł zmianę w jej uśmiechu, w jej pocałunku.

Jej pocałunek. Potrząsnął głową, by się uwolnić od wspomnienia.

Właśnie skończył kolejną naradę z senorem Pasąezem. Ustalili szczegółową trasę. Za godzinę mieszkańcy osady powinni dotrzeć do rzeki. Po jej pokonaniu w bród mieli ruszyć przeciwnym brzegiem i po jakichś sześciu kilometrach odbić od rzeki i wspiać się po stromym zboczu.

Ten kawałek był najtrudniejszy, jednak potem będą mogli odpocząć po przeciwnej stronie przełęczy na niewielkiej łące, podczas gdy Michael i Scopes zajmą pozycje pod szczytem.

Ruszył pod prąd ludzkiej gromady, by sprawdzić, czy wysłany na zwiady Scopes nie zauważył śladu nadciągając;

cych dezertarów. Spotkał go w połowie drogi. Żołnierz już z daleka dał mu sygnał, że wszystko w porządku.

Michael odetchnął głęboko. Wyciągnął mapę i zaznaczył Scopesa z planami na najbliższe godziny. Potem poprawił na ramieniu pasek swojego CAR 16.

- Zobaczę, jak się sprawiają tyły - rzucił.

Sierżant zachichotał.

- Serio? A ja myślałem, że chcesz zobaczyć AJ.

Michael uniósł brew.

- Ona ma na imię Alyssa.

- Kazała się nazywać AJ. Nie patrz tak na mnie. Potrafię się zachować. Idź już i zamień z nią słówko, a jeśli chcesz posłuchać mojej rady...

- Nie chcę.

- ..wymknijcie się dyskretnie w krzaki. Jesteś strasznie spięty, a nic tak nie odpręża jak porządny...

Wyraz twarzy Michaela musiał go ostrzec, bo urwał, zmarszczył brwi, a potem ciągnął ostrożniej:

- To wcale nie był brak szacunku. Jej też przyda się trochę rozrywki. A jeśli się wstydzisz, to po prostu zostańcie w tyle, potrzyście się za ręce i popatrzcie sobie w oczy. - Mrugnął. - Nie działa tak dobrze jak tamto, ale może starczy.

Michael westchnął.

- Od teraz dowodzisz kolumną, sierżancie.

Scopes zasalutował ironicznie.

- Pozdrów ode mnie swoją panią. I nie śpieszcie się z powrotem.

Wędrowała otoczona dziećmi, trzymając w ramionach sennego malucha. Podniosła wzrok, zobaczyła Michaela i ca-

ła się rozpromieniła. Może Scopes miał trochę racji? Chciał zostać tylko z nią. Parę chwil... przecież to nie grzech.

- Myślisz, że siostry mogłyby się zająć dziećmi przez jakiś czas? - spytał po hiszpańsku. - Chciałbym z tobą pogadać.

- Hm... - Obejrzała się za siebie.

Siostra Constancia była najbliżej; uśmiechnęła się zachęcająco i wzięła małą w swoje silne, pulchne ręce.

Michael ujął Alyssę za rękę i ruszył w dół drogi, dalej od pozostałych.

- Coś się stało? - spytała z niepokojem.

- Nie. Chciałem tylko pobyc z tobą.

- Och. - Sprawił jej przyjemność. Zarumieniła się, oczy jej błysnęły.

- Jak sobie radzisz? Pewnie niosłaś tę małą kawał drogi, musisz być wykończona.

Zaśmiała się.

- Fakt. Myślałam, że jestem w dobrej kondycji, ale to nieprawda.

- Wydajesz się... inna. Weselsza.

Zabrzmiało to idiotycznie, biorąc pod uwagę okoliczności.

- Czuję się weselsza. Mówiłam ci, że siostra Andrew pomogła mi się uporać z dawnymi upiorami. No i staram się nie myśleć o przyszłości. Tylko... - Urwała. Podniosła brodę i dokończyła cicho: - Tylko to niełatwe, skoro człowiek, którego kocham, ma przykry zwyczaj wystawiania się na kule, żeby obronić innych.

Zakręciło mu się w głowie.

- Alyssa? - Chciał coś powiedzieć, mógł wymówić tylko jej imię. - Alyssa.

Zacisnęła palce na jego dłoni. Wydawała się trochę błada, lecz patrzyła mu prosto w oczy.

- Musiałeś się domyślić. Po tym, jak się kochaliśmy. Musiałeś.

- Ja...

Chciał usłyszeć jeszcze raz, jak mówi te słowa. Potrzebował tego - ale jak miał jej o tym powiedzieć? Jak mógł zapytać, czy jest pewna, czy naprawdę go kocha? Jęknął, chwycił jej twarz w obie dłonie i pocałował.

Otworzyła się na jego powitanie, przylgnęła do niego całym ciałem. On jednak chciał więcej, potrzebował jej całej. Przesunął dłońmi po jej ramionach, plecach, pośladkach i jęknął.

Nigdy nie spotkała nic podobnego do fali pożądania, jaką wyczuwała u niego. Skąd się brała ta naga, wszechogarniająca potrzeba? Czy naprawdę sama ją wyzwoliła, dając mu do zrozumienia, że go kocha?

Z trudem oderwał usta od jej warg.

- Ja... pozwól mi, Alysso.

Jego usta błądziły po jej twarzy, szyi - błagalne, natarczywe.

Powiedział: „pozwól mi”. Zrozumiała: „kochaj mnie”. Bez słowa pogładziła jego plecy, odwzajemniła pocałunek.

Zadrzał. Zamarł na chwilę, jakby nie mogąc pomieścić w sobie tej odpowiedzi - a potem zalała go fala pożądania.

W coraz większym zapamiętaniu zaczął uwalniać ją z ubrania; szarpał zapięcia, zatrzaski.

W ślad za nimi podążały jego usta - delikatne, namiętne. Jej ręce drżały, kiedy szarpała uparty guzik u jego spodni.

Broń zsunęła mu się z ramienia, uderzając Alysę w rękę. Zamarł.



Nie miało to już jednak dla niej znaczenia, nie tak jak jeszcze niedawno. Ujęła karabin i rzuciła go na ziemię.

Pocałował ją znowu. Serce biło jej mocno, krew pulsowała w żyłach. Już, już, już.

Rozsunęła zamek u jego spodni. Odchylił głowę i jęknął, potem ją podniósł. Jego siła wzbudziła w niej kolejną falę pożądania. Pod plecami czuła twarde, krągły pień drzewa. Odruchowo splotła nogi wokół jego bioder, kiedy w nią wchodził.

Obsypywała pocałunkami jego twarz, szyję, uspokajająco gładząc jego ramiona, plecy.

Jego ruchy przyspieszyły; krzyknęła, jej ciało wygięło się w łuk, gdy osiągnęła szczyt. Pchnął jeszcze raz z głową odrzuconą do tyłu.

Świat zniknął.

Śpiew ptaka. To było pierwsze, co sobie uświadomiła. Głowa Michaela spoczywała na jej ramieniu; dyszał ciężko, jakby właśnie dobiegł do mety.

Oparła policzek o jego głowę. Jak idiotycznie musimy wyglądać, pomyślała z uśmiechem. Namiętność jest tak mało wytworna; wspaniała i niechlujna.

Pogładziła go po włosach.

- Kocham cię - powiedziała cicho.

Objął ją i przytulił mocno. Bez jednego słowa.

Zabrał ją w krzaki i wziął pod drzewem. Niewiarygodne i wspaniałe.

Uśmiechał się do siebie, zapinając spodnie i koszulę. Obejmował Alysę, przyglądając się z zainteresowaniem, jak wkłada koszulę.

- Pomóc ci z guzikami?  
- Z jakimi guzikami? - mruknęła, starając się mimo wszystko ją zapiąć. - Połowę oberwałeś.

Powinien był okazać skruchę. Albo przynajmniej przestać głupio szczyrzyć zęby.

Spojrzała na niego karcąco.

- Wszyscy się domyśla.

Nie potrafił wymyślić żadnej sensownej odpowiedzi, więc milczał.

Wyszli z powrotem na szlak. Spojrzał na Alysę, obejmując ją ramieniem. Oczy miała półprzymknięte.

- Zmęczona?

- Właśnie wyobrażam sobie kąpiel.

- Chętnie bym ci ją zafundował, gdyby tylko okoliczności pozwoliły.

- Och, marzenia w zupełności mi wystarczą. Poza tym są nieszkodliwe. Manuel na przykład ciągle wyobraża sobie wybuchy. Każda chmura pyłu, którą zobaczy, wydaje mu się eksplozją.

Poczuł nagłe zaniepokojenie.

- Każda chmura pyłu... Alysso, kiedy ostatnio ją widział?

- Jakieś pół godziny temu. Chwilę przed twoim przyjściem. Właśnie mi o tym opowiadał... Co się stało?

- Niech to diabli! Jak mogłem być tak głupi!

- O co chodzi, Michael?

- Tamci też mogą mieć materiały wybuchowe.

Przepytał Manuela i innych. Jeszcze dwie osoby - dziesięcioletnia dziewczynka i starsza kobieta - widziały fontan-

nę pyłu unoszącą się zza zbocza góry. Ruszył na poszukiwanie Scopesa.

Sierżant uśmiechnął się radośnie na powitanie, lecz na widok wyrazu twarzy Michaela natychmiast spowaźniał.

- Co jest, Mick?

- Pół godziny temu Manuel i parę innych osób widzieli wybuch.

- Cholera.

Szybko dotarli nad rzekę: strach dodał sił nawet najstarszym i najsłabszym. Potem jednak niektórzy zaczęli zostawać w tyle i kolumna zwolniła znowu.

Michael próbował przekonać senora Pasqueza, żeby nakłonił swoich ludzi do pośpiechu, *tepec* jednak niespodziewanie się sprzeciwił.

- Nie wiemy nawet, czy nas ścigają. Chmura pyłu może oznaczać cokolwiek. Najgorszy odcinek ciągle mamy przed sobą. Musimy oszczędzać siły.

Michael ustąpił. Przeklinał siebie za to, że odesłał helikopter. Gdyby tego nie zrobił, miałby kontakt radiowy z Boise'em i wiedział, co naprawdę zdarzyło się we wsi. Liczył tylko na to, że rebelianci nie mają między sobą takiego specjalisty od środków wybuchowych jak Scopes.

Źle założony ładunek mógł narobić więcej szkód niż pożytku. W przeciwnym razie... no cóż, przynajmniej miał po swojej stronie paru specjalistów od modłów.

Jeden z nich znajdował się tuż przed nim. Alyssa wyglądała na odprężoną. Znowu niosła na rękach małą Rositę. Co jakiś czas oglądała się i zamieniała parę słów z którąś z sióstr, a potem patrzyła na przebytą drogę.

Zbliżył się do niej.

- Spokojnie - rzucił po angielsku, żeby dzieci nie zrozumiały. - Wysłałem Scopesa, żeby pilnował tyłów.

- Myślisz, że są blisko? - spytała zniżonym głosem.

- Nie mam pojęcia. To zależy, czy bardzo się śpieszą. Robimy około trzech i pół kilometra na godzinę. Oni mogą zrobić nawet pięć.

- Ile nam jeszcze zostało do przejścia?

- Przełącz jest tylko cztery kilometry stąd... w linii prostej. Niestety, czeka nas ostre podejście. Pasquez twierdzi, że dotrzemy na miejsce około piątej.

Alyssa milczała. Pewnie liczyła w pamięci.

- Nie mają powodu nas krzywdzić - odezwała się w końcu. - Jeśli się śpieszą i chcą dotrzeć na plantację, zawracanie sobie głowy nami byłoby tylko stratą czasu i amunicji.

Skinął głową. Mógł przynajmniej zostawić jej nadzieję.

Alyssa nie wiedziała, co dezertery zrobili z mieszkańcami poprzedniej wioski - i nie miała się tego dowiedzieć.

- Muszę wracać na tyły - oznajmił Michael. - Straż tylna powinna strzec tyłów, a nie ucinać sobie pogawędki.

Spojrzała na broń zwisającą mu z ramienia i kiwnęła głową. Żadnych protestów. Żadnych błagań, żeby uważał na siebie. Jeśli się bała, umiała to ukryć.

- Mówiłem ci już, że przypominasz moich żołnierzy? Tylko jesteś ładniejsza. I znacznie bardziej seksowna.

- Nie jest pan szczególnie wybredny, co, poruczniku?

- Jestem - odparł cicho, delikatnie gładząc ją po policzku. - Jestem niezwykle wybredny - dokończył. - W niektórych sprawach.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Sądziła, że jest zmęczona. Jednak dopiero trzy godziny później AJ. w pełni pojęła znaczenie tego słowa. Była spocona, brudna i zdyszana.

Na wspomnienie ich krótkiego skoku w bok uśmiechnęła się, lecz uśmiech szybko zgasł. Michael nie powiedział, że ją kocha, chociaż okazał jasno, że jej potrzebuje, że jest dla niego kimś ważnym. To powinno wystarczyć... Prawda?

Poprawiła śpiące dziecko. Bolały ją plecy, ramiona i ręce. Nie mogła jednak nic na to poradzić, więc po prostu szła dalej przed siebie. Będzie miała szczęście, jeśli zdoła się jutro wyprostować.

O ile dożyje jutra. Spojrzała za siebie, ale nie zobaczyła Michaela. Nie widziała go od postoju nad rzeką, kiedy to prawie doprowadził do buntu, gdy polecił wieśniakom pozbyć się części ładunku. Ponieważ zabrali ze sobą tylko najpotrzebniejsze przedmioty i żywność, nie spotkało się to z życzliwym przyjęciem.

Nawet siostry zaprotestowały. Michael nie tracił czasu na przekonywanie. Zamiast tego zaczął przetrząsać tobołki i wyrzucać jedzenie do rzeki. To właśnie wtedy omal nie został pobity przez ludzi, których miał ratować. Potem przyłączył się do niego seior Pasquez, bez słowa wysypując na ziemię kukurydzę, mąkę, fasolę i suszone owoce.

Od tej pory Michael trzymał się dalej z tyłu, poza zasięgiem wzroku. Tak bardzo się o niego bała...

Na przodzie ktoś zawołał głośno. Inni zaczęli rozmawiać z ożywieniem, lecz hiszpańszczyzna AJ. nie była na tyle dobra, by mogła zrozumieć, o co chodzi.

- Co się stało? - spytała przechodzącą kobietę.

Tamta była mocno zdyszana. Przystanąła na chwilę i zaczęła nasłuchiwać.

- Ach, chwała Bogu! - Uśmiechnęła się szeroko. - Ci z przodu dotarli do przełęczy.

Wiadomość dodała otuchy im obu.

Dotarcie do przełęczy oznaczało bezpieczeństwo - dla wszystkich prócz Michaela. Przejście było bardzo wąskie. Dwóch mężczyzn z bronią automatyczną mogło tam powstrzymać nawet czterdziestu napastników, gdyby zaszła potrzeba.

Póki nie skończą się im kule.

Może dezercerzy nie przyjdą. A nawet jeśli, z pewnością się wycofają, widząc, jak dobrze broniona jest ta pozycja. Z pewnością...

Wystrzał przerwał rozmyślenia AJ. Odruchowo zaczęła się odwracać, lecz siostra Andrew silnie pchnęła ją w plecy.

- Szybciej, zabierz stąd małą!

Niemal biegła. Ignorując napływające do oczu łzy, szybko posuwała się pod górę. Mała Rosita szlochała jej do ucha, ściskając ją ze wszystkich sił.

Nagle znalazła się w wysokich skałach. W tym momencie usłyszała jeszcze jeden dźwięk: równy warkot narastający z każdą chwilą. Podniosła głowę. Wielki zielony helikopter pojawił się nad wierzchołkami drzew.

Dziękuję, dziękuję, dziękuję!

- Chwała Bogu - mruknęła siostra Andrew i dodała rzeczowo: - Nie zatrzymuj się. Nadal strzelają.

Szlak dotarł do szczytu, kawałek biegł poziomo, po czym opadał w dół łagodnego zbocza. Skały rozstały się, ukazując szeroką trawiastą polanę otoczoną sosnowym lasem. Panoowało na niej wielkie zamieszanie. Dzieci płakały, dorośli tłoczyli się, nie wiedząc, co robić dalej.

Nad skałami pojawił się helikopter. Zniżył lot nad polaną, a kiedy wieśniacy rozbiegli się na boki, wylądował. Drzwi na boku otwarły się i z wnętrza wysypali się mężczyźni w brązowych mundurach armii San Christóbal.

Przybyła odsiecz.

Michael miał wiele powodów, by błogosławić impuls, który kazał mu odesłać śmigłowiec do bazy. Banner udał się wprost do pułkownika po pomoc. Ku jego zdumieniu przełożony zgodził się na wszystko, kazał przygotować większy helikopter - Cobrę - po czym sięgnął po słuchawkę.

Jak się zdawało, rząd San Christóbal zwrócił się o pomoc techniczną do armii Stanów Zjednoczonych. Zdaniem pułkownika, przerzucenie miejscowych żołnierzy do punktu, gdzie znajduje się największy oddział armii El Jefe, było doskonałym sposobem wywiązania się z zadania.

Mimo to Michael żałował, że posiłki nie przybyły dziesięć minut wcześniej.

Na najbardziej stromym odcinku szlaku niosący go ludzie omal nie zrzucili go z noszy. Ból w ramieniu stał się nie do zniesienia. Gdy tylko odzyskał oddech, zaczął przeklinać.

- Może trochę ciszej - rzucił idący obok Scopes. - Twoja pani tu idzie.

Alyssa. Z trudem podniósł głowę i zobaczył, jak jego sładka, czuła Alyssa niemal przewraca dwóch żołnierzy, by się do niego przecisnąć.

- Michael! O Boże, powiedzieli mi, że jesteś ranny.

- Hej, wszystko w porządku.

Wyciągnął lewą rękę - prawą miał przybandażowaną do boku - a ona ujęła ją w swoją, idąc obok noszy. Chłonał ją wzrokiem - wielkie oczy, brudną twarz, rozczochrane włosy. Na twarzy widniały jaśniejsze smugi. Płakała. Z jego powodu?

- Żołnierz, który mi powiedział, że cię trafili, kazał mi się pośpieszyć.

Pociągnęła nosem.

Cholera, wyszło na to, że jest na łożu śmierci.

- Prosiłem, żeby cię sprowadzili, bo chciałem oświadczyć się znowu.

Spojrzała na niego tępo.

- Teraz?

Ból w ramieniu stawał się coraz gorszy.

- Nie dam się zapakować do helikoptera, póki za mnie nie wyjdiesz.

- Co takiego?

Rozejrzała się wokół, jakby szukając kogoś, kto mógłby mu to wyperswadować. Scopes wzruszył ramionami. Zwróciła się więc po hiszpańsku do niosących go ludzi, żeby nie zwracali na niego uwagi i szybko go opatrzyli.

Spojrzeli na nią niepewnie.

- Obawiam się, że jestem bohaterem chwili - wyjaśnił



Michael. - Nie chcą mi się sprzeciwiać. Kazałem kapralowi przyprowadzić jeszcze kogoś. O, już jest.

Senor Pasquez dołączył do nich, dysząc jak parowóz.

- Starałem się, jak mogłem - wysapał.

- Ma pan swoją księgę? - spytał Michael.

- Oczywiście, wszystko zostanie urzędowo zapisane - przyrzekł starzec. - Jesteście gotowi?

Michael patrzył na nią wyczekująco. Powiedziała, że go kocha. Naciskał na nią, ale nie miał innego wyjścia. Był ranny, z bezużyteczną ręką, krew ciekła z niego jak z dziurawego garnka.

Teraz, gdy miał przyszłość dla siebie, chciał ją przeżyć z Alyssą. Zacisnął rękę na jej dłoni.

- Alyssó?

Wzięła głęboki oddech.

- Tak. W porządku. Jestem gotowa.

Wytrwał przez prostą ceremonię, choć pod koniec czarne płatki tańczyły mu przed oczyma. Jednak zanim wsunięto jego nosze do helikoptera, bardzo rozsądnie stracił przytomność.

AJ. spędziła pierwsze dwie godziny po ślubie na pokładzie śmigłowca. Kiedy wylądowali w bazie w Panamie, Michael nadal był nieprzytomny.

Cztery godziny później znowu znaleźli się w powietrzu - tym razem na pokładzie wielkiego DC-9. Tym razem towarzyszyła im pielęgniarka wraz z niewielkim przenośnym szpitalem.

Michael na chwilę odzyskał przytomność i poprosił, by zawiadomiła jego braci. Podał jej numer telefonu Jacoba, po czym zemdlał znowu.

Drugi pilot połączył ją ze Stanami. Siedziała ze słuchawkami na uszach i wyobrażała sobie, jak telefon dzwoni w Dallas w Teksasie.

- West, słucham? - odezwał się głęboki męski głos.

- Jacob West? - Serce waliło jej w piersiach.

Zacisnęła pięść, aż paznokcie wbiły się w ciało. Musi przekazać wiadomość spokojnie.

- Tak.

- Nazywam się Kelleher. Dzwonię w sprawie pańskiego brata Michaela. Został... ranny.

West głośno wciągnął oddech, lecz jego głos pozostał spokojny i opanowany.

- Jak poważnie?

Zacisnęła pięść jeszcze mocniej.

- Stan jest stabilny. Lecimy do Houston na operację.

- Jaką operację? Cholera, proszę mi powiedzieć, co się stało. Natychmiast.

Mimo wszelkich wysiłków z oczu zaczęły jej płynąć łzy.

- Został postrzelony. Kula... podobno nie narobiła wielkich szkód. Zdaje się, że to był rykoszet. - Powiedz to wreszcie, rozkazała samej sobie. - Ale utkwiła blisko kręgosłupa. Dlatego lekarze nie zdecydowali się operować w Panamie. On chce, żeby pan i Luke byli przy nim.

A.J. stała przy oknie w prawie pustej poczekalni, mocno obejmując się rękami. Miała wrażenie, że gdyby pozwoliła rękom opaść swobodnie, rozsypałyby się zupełnie.

Zadzwoiła do rodziców zaraz po tym, gdy Michaela wwieziono na salę operacyjną. Ucieszyli się ogromnie i obie-

cali przyjechać najszybciej, jak to możliwe, lecz miało to potrwać parę dni, bo oboje dopadła grypa.

- Wielebna Kelleher? - odezwał się męski głos za jej plecami.

Obróciła się wolno.

- Niezupełnie.

Niewielka gromadka zmierzała w jej stronę: dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Starsza z nich była drobna i chuda, z włosami w nienaturalnie żółtym kolorze, młodsza - piękna jak modelka.

- Pielęgniarka powiedziała nam, że to pani przyjechała z Michaeliem. Myślałem więc... - odezwał się pierwszy z mężczyzn.

- Jacobie - pohamowała go młodsza z kobiet.

Więc to jest starszy brat Michaela.

- Właśnie wyszłam za mąż. Jeszcze nie przywykłam do nowego nazwiska - wyjaśniła AJ.

- Miło panią poznać - odezwała się starsza kobieta. - A teraz proszę nam powiedzieć, co z Michaeliem.

- Jest na sali operacyjnej... - Poczwała, że kręci się jej w głowie.

- Przepraszam, ale wygląda pani, jakby zaraz miała upaść. - Młoda kobieta ujęła AJ. pod rękę i uśmiechnęła się.

- Jestem Claire, naręczona Jacoba. Ten przystojny młodzian to Luke, a tu jest Ada - dodała, wskazując kobietę o żółtych włosach.

- Nie znoszę szpitali. Zawsze ich nie znosiłam - dobiegł ich wysoki, dziecinny głos. - Ci wszyscy chorzy ludzie...

Jacob odwrócił się w stronę nowo przybyłych.

- Co was zatrzymało?

- Cami musiała iść do łazienki - wyjaśniła niższa z kobiet, które właśnie weszły.

Podtrzymywała swoją towarzyszkę, piękną blondynkę w prostej jedwabnej sukience, która musiała kosztować majątek.

- Przysięgam - ciągnęła blondynka głosem małej dziewczynki - robi mi się słabo za każdym razem, gdy postawię nogę w szpitalu. Zawsze byłam taka wrażliwa. Ale musiałam przyjść. Po prostu musiałam.

Druga kobieta przewróciła oczyma, lecz odparła uspokajająco:

- Usiądź na chwilę, to zaraz poczujesz się lepiej.

- Najpierw muszę się dowiedzieć, co z nim. Biedny Michael. Jeśli będzie sparaliżowany... to nie do pomyślenia, prawda? - Delikatnie pociągnęła nosem. - Ale zapewniam was, że i tak za niego wyjdę, nawet jeśli nigdy więcej nie stanie na nogi.

- Nie wątpię - mruknęła Ada cierpko.

Alyssę ogarnęła fala gorąca, potem zimna. Usłyszała własny głos dobiegający jakby z wielkiej odległości:

- Co pani powiedziała? Kim pani jest?

Blondyna zatrzepotała bardzo długimi, gęstymi rzęsami.

- Cami Porter, narzeczona Michaela. A pani jest...?

AJ. zaschło nagle w ustach.

- Alyssa Kelleher-West. Jego żona.

- Powiadomienie Cami o wypadku to nie był najlepszy pomysł - przyznał Jacob, wsuwając ręce do kieszeni.

- Niech mnie diabli, jeśli wiem, po co to zrobiłeś - burknął Michael.

- Straciłem głowę.

Michael zaczął kląć, lecz szybko zabrakło mu tchu. Wszystko go bolało.

Lekarzom udało się wyjąć kulę, nie powodując większych urazów. Ta wiadomość naprawdę by go ucieszyła... gdyby jego życie nie było totalnie spażone.

- Żałuj, że tego nie widziałeś - mruknął Luke w rozmazaniu. - Jedno trzeba przyznać Cami: potrafiła wydusić z sytuacji każdą kroplę dramatyizmu.

- I nie przejmuj się jej groźbami, że cię pozwie do sądu - dodał Jacob. - Mój prawnik się tym zajmie. Zgodnie z umową przedślubną nie ma prawa do żadnych pieniędzy, póki się z nią nie ożenisz... a tego najwyraźniej nie zamierzasz robić.

- Nic mnie nie obchodzi Cami, jej prawnik ani forsa! Alyssa...

Boże, co ona sobie musiała pomyśleć... Zacisnął pięści. Musi z nią porozmawiać, wyjaśnić wszystko.

- Czekala, aż operacja się zakończyła, i dopiero potem pozwoliła, żeby Jacob odwiózł ją do hotelu - zauważył Luke.

- Ale od tamtej pory się nie zjawiała, prawda?

Bracia wymienili niepewne spojrzenia. Alyssa opuściła szpital poprzedniego dnia o świcie, kiedy Michaela przeniesiono do sali pooperacyjnej. Od tamtej pory żaden z nich jej nie widział ani z nią nie rozmawiał.

- Powiedziałem jej o testamencie, kiedy ją wiozłem do hotelu - mruknął Jacob.

- Nie ma się czym chwalić - burknął Michael. Z pewnością pomyślała, że ożenił się z nią tylko dla pieniędzy. - Słuchajcie...

W tym momencie drzwi się otworzyły. Michaela ogarnęła fala bolesnej nadziei. Jednak kobieta, która weszła, nie była Alyssą.

Ada postawiła przyniesione przez siebie kwiaty na szafce, po czym wzięła się pod boki, groźnie patrząc na wszystkich trzech.

- W porządku, możecie wyjść. Muszę porozmawiać z Michael'em.

Luke i Jacob protestowali, ale żaden z nich nie umiał się sprzeciwić Adzie, kiedy miała zły nastrój. A teraz wyraźnie była wściekła.

Ledwie drzwi zamknęły się za nimi, spojrzała na chorego i pokręciła głową.

- Może teraz wreszcie przestaniesz się uganiać z bronią i udawać, że zbawiasz świat.

- Może. - Czuł się zbyt słaby, by podejmować starą kłótnię.

- Aleś mnie wystraszył, dzieciaku - powiedziała szorstko i pogładziła go po policzku.

Ogarnął go spokój. Ada nigdy nie okazywała im zbyt wiele czułości, ale zawsze była blisko, gotowa pomóc, i wszyscy trzej dobrze o tym wiedzieli.

- Przepraszam. Postaram się więcej tego nie robić.

- W porządku. - Kiwnęła głową. - Dość o tym. Trzeba posprzątać ten bałagan, którego narobiłeś. Oświadczenie się tej całej Cami to najgłupsza, najbardziej idiotyczna rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłeś. A masz sporo głupot na koncie - dodała groźnie.

- Wcześniej wydawało mi się, że to dobry pomysł.

Nie mógł jej powiedzieć, czemu on i bracia tak bardzo się

śpieszyli z małżeństwem - Ada nie mogła się dowiedzieć, że robili to dla niej.

Znowu oparła ręce na biodrach.

- Wygląda na to, że jesteś równie głupi jak Luke i Jacob, i myślisz, że nie wiem, o co tu chodzi. Jak mogliście sądzić, że się nie domyśle, skąd ten nagły zapach do żeniaczki u was wszystkich?

Michael otworzył usta, zdał sobie sprawę, że nie ma nic do powiedzenia, i zamknął je znowu.

Ada kiwnęła głową.

- Słusznie. Nie ma sensu udowadniać, że jesteś głupcem. Chociaż muszę przyznać, że kiedy się raz zdecydowaliście, potrafiliście znaleźć sensowne kobiety. - Uśmiechnęła się szelmowsko. - Tę odrobinę rozsądku z pewnością odziedziczyliście po mnie, nie po swoim ojcu.

Na to miał odpowiedź.

- To prawda.

- A teraz - zaczęła, przysuwając krzesło do jego łóżka i siadając wygodnie - zastanówmy się, jak możesz skłonić tę uroczą dziewczynę, z którą się ożeniłeś, żeby nie uciekała na twój widok w przeciwnym kierunku. Po pierwsze, musisz mi powiedzieć, czy ją kochasz. - Rzuciła mu ostre spojrzenie. - Mam nadzieję, że tak?

- Ja... czy to ważne? Nawet jeśli ją przekonam, że mi na niej zależy, niczego to nie zmieni. Miłość tylko wszystko komplikuje.

Ada prychnęła.

- Bzdura, to wszystko inne jest skomplikowane. Miłość jest prosta. To coś, na czym możesz się oprzeć, kiedy wszystko w życiu zaczyna iść źle. Twój ojciec to rozumiał, tyle

tylko, że za każdym razem zaczynał z inną kobietą, zamiast wrócić do swojej pierwszej miłości.

Podniosła się z miejsca.

- Kiedy zobaczysz znowu Alysę, skup się na tym, co czujesz, a nie na tym, co myślisz. Największy problem nie polega na tym, że twoja żona i narzeczona wpadły na siebie na korytarzu. Problemem jest to, że nawet teraz nie potrafisz powiedzieć na głos, że kochasz swoją żonę.

Ktoś lekko zapukał do drzwi.

- Cześć - odezwała się cicho Alyssa. - Jacob powiedział, że już masz towarzystwo, ale pomyślałam...

- Już wychodziłam - rzuciła Ada.

Poklepała Michaela po ręce i ruszyła do drzwi.

Alyssa stała w wejściu. Miała na sobie sukienkę, co go zaskoczyło. Zawsze dotąd widywał ją w koszuli i spodniach. Sukienka była prosta w kroju, w jasnoniebieskim kolorze, który pasował do jej oczu. Włosy też miała inne, uczesane w luźny kok, z którego wymykały się niesforne pasma. Wyglądała tak pięknie...

- Zdaje się, że w tym momencie powinnam zapytać, jak się czujesz. Ze względu na dawne czasy, powiedz najpierw o swojej nodze.

Uśmiechnął się, choć go to zabolalo. Dawne czasy? Tak się mówi do kogoś dawno nie widzianego, dla kogo nie ma miejsca w obecnym życiu.

- Nie zauważyłem większych problemów z nogą, odkąd mnie postrzelili w pierś. Alyso...

Odwróciła się i zaczęła oglądać ustawione na szafce kwiaty.

- Rany, masz tu prawdziwą oranżerię. Przepraszam, że nic nie przyniosłam.



Nie zamierzała mu niczego ułatwiać. Właściwie czemu miałyby to robić?

- Przepraszam - powiedział cicho.

Nie odwróciła się.

- Pamiętam, jak kiedyś powiedziałeś, że zasługujesz na wyjaśnienie. Ja też.

- Jacob powiedział ci o funduszu powierniczym i czemu... czemu myślałem, że muszę się szybko ożenić.

- Och, to jasne. - Spojrzała nagle na niego z płonącymi oczyma. —To, co chcę od ciebie usłyszeć, to dlaczego nic mi nie powiedziałeś o Cami.

- Bobyś za mnie nie wyszła.

Przełknęła ślinę.

- A kiedy ci powiedziałam, że cię Kocham? Nie pomyślałaś, że zasługuję, by wiedzieć o takim drobnym szczególe jak narzeczona?

- Nie było czasu na wyjaśnienia. I nie chciałem, żebyś myślała, że żenię się z tobą dla pieniędzy. Nie chciałem...

- Wiem. Jacob powiedział, że nie ma nawet pewności, czy nasze małżeństwo jest ważne w sensie prawnym, więc możesz nie dostać pieniędzy. Szczególnie jeśli Cami oskarży cię o zerwanie umowy przedślubnej.

- Boże, wybaw mnie od pomocnych braci - mruknął.

- Słuchaj, jesteś moja. Nieważne, co na to powie sąd. Nie pozwolę ci odejść.

- Michael...

W jej głosie brzmiała... irytacja? Nie złość, nie smutek. Brzmiała raczej jak Ada, kiedy robiła mu wymówki.

- Wierzę ci. Ja... kiedy się dowiedziałam o Cami, byłam

wstrząśnięta, zraniona... ale wiedziałam, że mnie nie okłamałeś.

Wierzyła mu. Wierzyła w niego. Przez chwilę zapiekły go oczy. Z trudem odzyskał panowanie nad sobą.

- Nie jestem taki jak twój Dan - powiedział z trudem.  
- Nie potrafię być takim człowiekiem, takim mężem jak on.

- Nie potrafisz. - Westchnęła. - Z tym najtrudniej było mi się pogodzić. Nie chciałam być nikim innym niż kobietą, która kochała Dana; kobietą, którą on kochał. Ale jego śmierć mnie zmieniła. Trudno mi było to przyznać przed sobą.

Wzięła go za rękę z uśmiechem.

- Nie jesteś taki jak Dan. Ale i tak jesteś fantastyczny. Dokładnie takiego mężczyzny teraz potrzebuję.

Przysięgłby, że w tym momencie jego serce zaczęło bić na nowo. Nie wiedział, co robiło wcześniej, ale z pewnością nie wypełniało dobrze swojego zadania, bo dopiero teraz poczuł, że w jego żyłach zaczyna krążyć tlen.

- Możemy powtórzyć ceremonię, jeśli to konieczne. Ale... jest coś, czego mi nigdy nie powiedziałaś, Michael.

- Zawahała się. - Potrzebuję tych słów.

- Ja... nigdy ich nie powiedziałem żadnej kobiecie. Chyba nawet w ogóle nikomu - przyznał.

Nie mógł sobie przypomnieć. Czy kiedykolwiek mówił ojcu, że go kocha? Albo braciom? Albo matce?

- Nic nie wiem o miłości - dodał z lekką desperacją. - Nie wiem nawet, czy potrafię kochać.

Milczała, patrząc wprost na niego. Czekała.

- Cholera - mruknął. W porządku, potrafi to zrobić. - Kocham cię, okej?

Uścisnęła jego rękę.

- Aż takie to było trudne?
- Tak. Nie - poprawił się zaraz. Poczuł, jak ogarnia go dziwne ciepło, spokój. - Nie, właściwie całkiem proste...  
Ciepło rozchodziło się coraz szerzej, sięgnęło szyi, twarzy.
- Kocham cię - powtórzył z szerokim uśmiechem.  
Nachyliła się, ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go.
- Ja też cię kocham.  
Z trudem wyciągnął rękę, by dotknąć jej włosów, gładkiej skóry.
- Damy radę - mruknął.
- Pewnie. Ale najpierw musimy ustalić jedno.  
Popatrzyła na niego z szelmowskim błyskiem w oku.
- Lepiej szybko wyzdrowiej, bo jesteś mi winien noc poślubną, żołnierzu. I to w łóżku. Tym razem życzę sobie prawdziwego łóżka.

## EPILOG

### *Boże Narodzenie, posiadłość Westów*

- Mmm. - Michael wycisnął pocałunek na szyi Alissy.  
- Czy już ci mówiłem, że wyglądasz niezwykle seksownie w tych szatach, wilebna?

Alyssa roześmiała się.

- Mam zamiar w nich zostać. Dwadzieścia osób czeka na dole, żebym poślubiła twojego brata.

- Spóźnił się - odparł Michael. - Ja już się z tobą ożeniłem.

Obróciła się w jego ramionach i objęła go za szyję.

- Fakt. Nawet dwa razy.

Za radą prawnika drugi raz wzięli udział w ceremonii, kiedy tylko Michael wyszedł ze szpitala. Cami przestała stwarzać problemy, gdy Michael zapisał jej część pieniędzy, które wkrótce miał odziedziczyć. Pomysł ten napełnił niesmakiem Jacoba, lecz i Michael, i Alyssa chcieli jak najszybciej zamknąć całą sprawę. Być może Cami otrzymała niewielką fortunę, lecz jak się okazało, Michael miał niedługo dostać większą. Znacznie większą.

Dość dużą, by starczyło na zbudowanie nowej szkoły we wsi Cuauhtepc. Już wysłano tam owce i kurczęta. Siostra

Andrew miała też założyć niewielki zakład garncarski; Michael już jej obiecał piec i potrzebne materiały.

Ktoś głośno zastukał do drzwi.

- Hej, wy tam, dość tych czułości - dobiegł ich głos Luke'a. - Musimy ożenić Jacoba, bo zaraz zacznie gryźć boazerię. Albo gości.

Michael z ociąganiem wypuścił żonę z objęć i ruszył do drzwi. Prawie nie potrzebował już laski, którą dostał od Luke'a na Gwiazdkę. Wkrótce przejdzie badania i będzie mógł dołączyć do swojego oddziału. Albo nie. Nie zdecydował się jeszcze, a Alyssa nie naciskała. Oboje czekało wiele zmian, jeśli mieli zacząć wspólne życie.

Jakoś to będzie, pomyślała, wchodząc do holu. Bardzo się od siebie różnili pod pewnymi względami. Oboje jednak chcieli robić coś dla innych i bardzo się kochali.

Czasami to naprawdę wystarcza.

- Jesteście nareszcie - odezwał się Luke z ulgą i rozba-  
wieniem. - Jacob jest nie do wytrzymania.

- Ceremonia ma się zacząć dopiero za kwadrans - zauwa-  
żyła Alyssa spokojnie.

- Powiedz to mojemu bratu.

Na miejscu byli już jej rodzice i rodzice Maggie, żony Luke'a, oraz matka i ojczym Claire. Maggie i Luke przyjechali wcześniej wraz z chłopcem, którego zamierzali adoptować, i przywieźli mnóstwo prezentów dla wszystkich.

Alyssa i Michael ofiarowali sobie tylko po jednym podarunku: każde kupiło drugiemu prostą złotą obrączkę.

- Czy już mówiłam, że to bardzo dziwny dom? - spytała Alyssa, kiedy schodzili na dół.

- Wszyscy tak twierdzą, ale się czepiają - odparł Michael wesoło. - A oto i Jacob.

Chłodny, opanowany mężczyzna, którego spotkała w szpitalu; biznesmen, którego niewzruszonosc i refleks uczyniły bogatym człowiekiem, wyglądał, jakby zaraz miał wyskoczyć ze skóry.

Alyssa powiedziała sobie, że pastor nie powinien chichotać.

- Nareszcie - powitał ich Jacob z głębokim westchnieniem. - Wszyscy czekają.

- Claire nie zniknie, jeśli poczekaś jeszcze pięć minut - zauważył ubawiony Michael.

- Wiem, ale... - Jacob szarpnął węzeł krawata. - Chcę to już mieć za sobą.

Luke zaśmiał się złośliwie.

- Gdybym wiedział, jaka to będzie frajda obserwować cię w dniu ślubu, zachęcałbym cię do ożenku już dawno.

- Nic byś nie zyskał. Wtedy nie znałem Claire - odparł po prostu pan młody.

Parę minut później Alyssa stała przed przyjaciółmi i rodziną, starą i nową, i otwierała księgę. Śnieg sypał cicho za oknem; w rogu holu świeciła wesoło choinka. Kawałek czerwonej wstążki, przeoczony wśród zamieszania, zwisał ze świecznika.

Po wszystkim, przez co przeszła ona i pozostali, zebrali się wreszcie razem. Cuda mimo wszystko się zdarzają, pomyślała i pociągnęła nosem.

Zamrugała oczyma. Claire i Jacob z pewnością nie chcieli, żeby ślubu udzielał im szlochający pastor.

Matka Alyssy zasiadła do pianina i zaczęła grać starą,

dobrze znaną melodię. Panna młoda wsparta na ramieniu przybranego ojca szła w stronę ukochanego mężczyzny.

Zatrzymała się przed Alyssa i ujęła Jacoba za rękę.

Alyssa starała się opanować łzy. Zobaczyła, że Ada też płacze. I jeszcze paru gości. Spojrzała na Michaela i uśmiechnęła się.

- Drodzy bracia i siostry - zaczęła jasnym i czystym głosem. - Zebraliśmy się tu dzisiaj...